Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 5 czerwca 1938 r. Nr. 11.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

KAZIMIERZ SŁUPSKI.

O patriotyzm i dyscyplinę chłopa polskiego

W najbliższych dniach ma się odbyć jeszcze jedno z tak już licznych różnego rodzaju świąt — „święto ludowe".

Oczywiście, że Stronnictwo Lud. ma do tego prawo, bo jak jest święto robotnicze, jest święto lasu, i tyle innych potrzebnych i nie potrzebnych świąt, to dlaczegóż nie miałoby być święta Str. Ludowego, ale nie "święta ludowego".

Jest to duża nieścisłość, gdyż Str. Ludowe, to jeszcze nie wszyscy chłopi, to właściwie duża mniejszość i dlatego wg. mnie Str. Lud. nie ma żadnego prawa nazywania swej partyjnej uroczystości „świętem ludowym".

Zresztą, gdyby nie ten polityczny charakter, gdyby to święto ludowe nie było o charakterze dawnych sejmików szlacheckich, świętem sobiepańskim, klasowym, lecz uroczystością kultury wsi i wesela, uroczystością propagandy mowy ojczystej, ludowej pieśni polskiej i ludowych strojów polskich, to naprawdę należałoby temu żywo przyklasnąć i cieszyć się, że wreszcie chłop polski, który słusznie uważa się za gospodarza Polski, zrozumiał swoje posłannictwo, zrozumiał, że dopiero teraz tworzy Polskę Nową, Polskę Narodową, że on jest dopiero czystym nacjonalistą polskim w jak najbardziej dodatnim znaczeniu tego słowa. Ale tak nie jest, a przynajmniej na to się nie zanosi, gdyż prowodyrzy grając na nerwach polskiego chłopa, w demagogiczny sposób rzucają mu jako strawę tanią klasowość, tylko równocześnie zapominają o tym, że Polska jest krajem rolniczym o przeważającej ilości gospodarstw małorolnych, a ludność rolnicza stanowi blisko 70% całej ludności i jasnym jest, że istotnie ta właśnie ludność jest gospodarzem kraju, a więc ich jest armia, ich są urzędy, ich jest wszystko t. zn. oni za wszystko odpowiadają i wobec tego nie mogą stać na gruncie klasowym, który jest znacznie węższy, który podlega wpływom obcym, który jest wskutek tego bardzo często sprzecznym, a nawet wrogim interesom naszego Narodu i Państwa.

Wiemy wszyscy dobrze, że na naszej wsi nie jest tak jak być powinno, ale gdyby nawet było jeszcze bardziej źle, to też nie może być powodem do anarchii choćby tylko dlatego, że przecież to wszystko jest przejściowe, że to wcześniej czy później musi ustąpić choćby tylko pod wpływem ciężaru gatunkowego wartości ludu polskiego jako gospodarza tej Ziemi.

I dlatego nie wolno anarchizować i demoralizować ludu polskiego, zresztą pytam się dlaczego tego tak nie czyniono za czasów zaborczych lub jeszcze dawniej — szlacheckich, a tylko dziś we własnym domu, we własnym państwie, gdzie chłop dziś jest generałem, ministrem wojewodą itd.

Ja mam pełne prawo postawić Wam to pytanie, „bom nie z soli, ale z roli i z tego co mnie boli".

Dziś bieg spraw politycznych na świecie, wielkie nowoczesne ruchy społeczne przekreśliły raz na zawsze klasowość, a wysunęły interesy narodowe na powierzchnię życia społecznego i politycznego tak, że nacjonalizm jest tym, co obejmuje interesy zawodowe, a więc rolnicze, robotnicze, rzemieślnicze, a na klasowość czy kastowość nie ma tu miejsca. Nawet usiłujący pozornie dla celów światoburczych i zaborczych zachować klasowość czerwony komunistyczny ustrój, przerodził się w czerwony skrajny nacjonalizm, nie znoszący wewnątrz żadnych klas czy kast.

My polscy chłopi, robotnicy i wszyscy inni musimy być przede wszystkim Polakami — patriotami, kochać wszystko co nasze polskie, żyć w zgodzie i ofiarnie pracować nad podniesieniem dobrobytu naszej wsi, naszego robotnika, nad podniesieniem jego poziomu umysłowego i moralnego, nad stworzeniem mu kulturalnego bytowania.

Przy takim ujęciu sprawy i takim podejściu do zagadnienia — sprawy zawodowe, a więc rolnicze, robotnicze, rzemieślnicze i wszystkie inne tp. znajdą swoje jak najkorzystniejsze rozwiązanie dla zainteresowanych. Klasowość jest więc nie tylko zbędna, ale wręcz szkodliwa, burząca nasz wspólny dom jakim jest państwo i kłócąca naszą wspólną rodzinę jaką są Polacy. Oczywiście tego nie zrozumieją prowodyrzy, którzy zawsze wolą, aby woda była mętną, bo wtedy łatwiej łowić ryby dla siebie.

Dlatego też u nas b. często organizuje się różne imprezy o charakterze społecznym, czy nawet gospodarczym, aby ściągnąć jak najwięcej ludzi dobrej woli, ludzi którym dobro ogólno-narodowe i państwowe



Marszałek Śmigły - Rydz odbiera defiladę Związku Oficerów Rezerwy w dniu 26 maja we Lwowie

Sygn. VI. 1. Pr. 152/38.

WYCIĄG Z PROTOKOŁU WSPÓLNEGO POSIEDZENIA NIEJAWNEGO.

Sąd Okręgowy Wydział VI karny we Lwowie, w składzie Wiceprezes S. O. Ł. Malicki, Sędziowie S. O.: P. Dysiewicz i W. Boczar, w sprawie konfiskaty Nr 9 czasopisma „Wola i Czyn" z daty Lwów, dnia 5 maja 1938 r., do Sygn. VI. 1. Pr. 152/38, na posiedzeniu niejawnym w dniu 10 maja 1938 r. po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie

postanawia

uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 3 maja 1938 r., przez Starostwo grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma pt. „Wola i Czyn" Nr 9 z daty Lwów dnia 9 maja 1938 r., zawierającego w artykule zaczynającym się w tytule od słów: „Reportaż" w całości z tytułem, znamiona występku z art. 170 k. k. — zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie.

Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ustawy druk. z dnia 17 grudnia 1862. Dz. p. p. Nr 6. ex 1863, tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych.

Uzasadnienie.

W treści wyż. wymienionego artykułu znajdują się nieprawdziwe wiadomości z dziedziny wymiaru sprawiedliwości w Polsce oraz stosunków w więzieniach mogące zaniepokoić ogół publiczny.

Według §§ 487, 489, 493, p. k. oraz §§ 36 i 37 ustawy prasowej jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione. — Przewodniczący. Ł. Malicki w. r. Protokolant: St. Mędraś w .r. za zgodność podpis nieczytelny.

leży na sercu, a później w ostatniej chwili nadaje im się charakter wybitnie polityczny, wykorzystuje do różnych niecnych gier. Bogu dzięki, że już coraz więcej ludzi zna się na tych pociągnięciach i nie daje się brać na lep, ale też wskutek tego macherzy polityczni przechodzą samych siebie pod względem konceptów w organizowaniu różnych zjazdów i świąt. A wszystko to wynika z braku umiaru i dyscypliny w pracy polityczno - społecznej.

Przepraszam, że ośmielam się mieć inne zdania niż p. Prystorowa, która wystąpiła z Obozu Zjednoczenia Narodowego, bojąc się właśnie tej dyscypliny. Ha, może i racja! Bo przecież to niesłychane, aby wszystko robić na rozkaz, nawet myć się, a jak jeszcze zaczną ci ozonowcy liczyć gwoździe pod butami, liczyć ilość porcyj, oglądać kieszenie i ręce, a może zaczną robić przegląd sumień i wreszcie od czasu do czasu każą milczeć i pracować — to rzeczywiście taki dryl w polityce nie do przyjęcia, bo cóżby wtedy robili wybitni indywidualiści, następcy braci szlachty i ludzie „lekkiego chleba".

Zdaje mi się, że p. Prystorowa wkrótce da do opatentowania epokowy wynalazek zegarek — cud, bo o gładkich niezębatych kółkach, z których każde będzie się kręcić w dowolną stronę i w dodatku bez sprężyny.

Przypuszczam, że wybitnie pomocnym przy tym wynalazku było Słowo Wileńskie, a także i inne sławy białe i czarne.

Ale p. Prystorowa zapomniała, że kiedyś w Warszawie po ulicy Marszałkowskiej lub Nowym Świecie ludzie chodzili jak chcieli, ba, nawet i zwierzęta domowe chodziły swobodnie, a dziś musi tam stać policjant regulujący ruch przechodniów, którzy mają prawo chodzić tylko tą a nie inną stroną, przechodzić tylko tędy a nie dowolnie, pojazdy jechać tylko z taką, a nie inną szybkością itp. Niechże więc Pani Prystorowa, oraz wszyscy inni mali i wielcy politycy zapamiętają sobie, że im większe masy ludności będą żyć na świecie tym więcej będzie się komplikować życie i właśnie tym bardziej i tym silniejszej potrzeba będzie dyscypliny i społecznej i politycznej i bezpieczeństwa.

Należy więc przypuszczać, że lud polski uzna konieczność i pożyteczność pewnej dyscypliny społecznej i narodowej, zrozumie, że jego święto, to święto 15 sierpnia, kiedy to chłop polski bądź jako szeregowiec, bądź jako podoficer, czy też jako oficer, bo i takich oficerów-chłopów było dużo, uratował Polskę i Europę od zdziczałych hord komunistycznych w sierpniu 1920 r.

Oto, panowie politykierzy chłopscy, to jest święto ludowe, to jest święto chłopa polskiego. Chłop polski niewątpliwie zrozumie, że jego święto jest 11 listopada, kiedy to w r. 1918 znów w olbrzymiej swej liczbie chłop polski uświadomiony patriota wybitnie się przyczynił do uwolnienia Polski od najeźdźców-okupantów.

Oto są święta ludu polskiego, który jest Narodem Polskim i tam powinny być te tysiące zielonych sztandarów i miliony chłopów. I jeżeli dotychczas przywódcy Str. Lud. byli innego zdania, to dziś moralnie nie mają żadnego prawa uzurpować sobie do organizowania jakiegoś nowego koniunkturalnego święta ludowego, tym bardziej, że Str. Lud. jak powiedziałem reprezentuje tylko część chłopów. Warto więc zastanowić się nad tym, by z uroczystości, która winna być kulturalno-oświatową i radosną, podnoszącą moralnie, budującą, czynić kość dalszej niezgody w Narodzie.

Chłop polski musi być dumny z tego, że jest Polakiem, z tego, że obronił kochaną Ojczyznę, chłop polski musi być patriotą a nie klasowcem. Polacy dziś nie mogą się dzielić na klasy — każdy Polak pracy w czasie pokoju jest tyle wart, co żołnierz na froncie w czasie wojny, a w obliczu pracy i śmierci dla własnego Narodu i Ojczyzny są wszyscy Polacy sobie równi.

Wystawa Lotnicza we Lwowie i lwowskie tradycje lotnicze

(wlś) We Lwowie otwarto 29 bm. Krajową Wystawę Lotniczą. Do uroczystości tej Lwów przygotował się z wielką starannością. Ogólnopolski charakter wystawy i fakt, że nie inne miasto, a właśnie Lwów, uważany za kolebkę lotnictwa polskiego, został wybrany na miejsce pierwszej wspaniałej rewii blisko 30-letniego dorobku naszego lotnictwa — wzbudził tutaj szczególne poczucie odpowiedzialności za całokształt prac organizacyjnych.

Protektorat nad wystawą objął Pan Prezydent Mościcki i Marszałek Śmigły-Rydz. W skład komitetu honorowego weszli: gen. Berbecki, w-min. Bobkowski, min. gen. Kasprzycki, gen. Rayski, min. Ulrych i gen. Zając.

Inicjatorem wystawy był zarząd lwowskiego okręgu woj. LOPP.

Otwarcie wystawy w maju r. b. zbiega się z niezwykle ciekawą rocznicą w rozwoju lotnictwa na terenie Lwowa. Mija właśnie w tym miesiącu 10 lat od pierwszej wyprawy szybowcowej, zorganizowanej przez wykazujący w okresie powojennym wielką żywotność Związek Awiatyczny, składający się prawie wyłącznie ze studentów Politechniki Lwowskiej, spośród których dziś wielu zajmuje czołowe stanowiska w naszym lotnictwie.

Pionierem konkretnej pracy w dziedzinie szybownictwa był ówczas Wacław Czerwiński, który przez zapoczątkowanie budowy szybowca własnego pomysłu zwrócił uwagę społeczeństwa na nowe możliwości zdobywania dróg powietrznych. Oczywiście w okresie początkowym tylko nieliczna grupa kolegów Czerwińskiego wierzyła w powodzenie jego — jak zdawało się jeszcze 10 lat temu — fantastycznych zamierzeń. Z szybowcem tym, wykończonym częściowo w 1926 zapoznała się już publiczność w okresie „tygodnia" LOPP. Był to płatowiec wolnonośny, kadłub o normalnej wówczas konstrukcji drewnianej, kryty częściowo sklejką, a częściowo płótnem, podwozie stanowiły dwie płozy. Usterzenie normalne znajdowało się na końcu kadłuba.

Pierwszą próbę lotu wykonano na tym szybowcu w jesieni 1927 roku. Nieżyjący już kpt. pil. Jan Łukasiewicz wykonał na nim na lotnisku w Skniłowie kilka popularnych dziś szurań. Wynik tej próby był dodatni. Nie było więc przeszkód, aby zająć się organizowaniem pierwszej wyprawy szybowcowej. Po dłuższych poszukiwaniach, Zw. Awiatyczny ustalił tereny pod Złoczowem. Startować miał jedyny wówczas na Politechnice Lwowskiej pilot cywilny, student Szczepan Grzeszczyk. W marcu 1928 roku urządzono jeszcze jedną próbę. Tym razem była to próba lotów ciągnionych za samochodem. Wypadła pomyślnie. W Polsce był to pierwszy tego rodzaju eksperyment, ale wcześniej już podobne loty wykonali Niemcy i Amerykanie.

W maju 1928, a więc dziesięć lat temu, wyruszono pod Złoczów na pierwszą wyprawę szybowcową. Wyprawa ta zakończyła się tragicznie, szybowiec został kompletnie rozbity, a pilot doznał ciężkich okaleczeń. Ale wyniki uzyskano rewelacyjne: lot trwał 4 minuty i 13 sekund, osiągnięto wysokość 50 m ponad start. W naszych czasach rekordów nie są to oczywiście wyniki imponujące, ale jest faktem niewątpliwym, że ten tragiczny start złoczowski był w rzeczywistości wspaniałym startem w dziedzinie rozwoju szybownictwa polskiego.

Dla Lwowa jest to dziś o tyle ważniejsze ,że był to start lwowski...

Lwów, jak wiadomo, ma starą i piękną tradycję lotniczą, zapoczątkowaną przez studentów politechniki, którym przewodził konstruktor inż. Libański.

Jak wielkie zainteresowanie lotnictwem zdołali wzbudzić w społeczeństwie lwowskim ci pierwsi pionierzy, świadczy urządzona we Lwowie w 1910 r. pierwsza wystawa lotnicza, nazwana „pierwszą wystawą awiatyczną". Na wystawie tej znajdowały się samoloty, modele samolotów, szybowce, dział balonowy, a poza tym ubrania dla pilotów, mapy, zdjęcia balonowe itp. Wystawa cieszyła się niebywałym powodzeniem. Nie trzeba było propagandy. Ludzie z dalekich miast i osiedli przybywali do Lwowa, aby podziwiać niezwykłe latawce, na których człowiek zuchwale wyruszał na podbój przestworzy.

W tym okresie Lwów zwrócił na siebie uwagę całego świata rekordem lotniczym. Oto w 1910 r. na zawodach lotniczych w Wiedniu jeden z pionierów polskiego lotnictwa, lwowianin inż. Warchałowski, zajął pierwsze miejsce za 15-minutowy lot bez pasażera i 5-minutowy lot z pasażerem.

W tym samym roku Polak Piotrowski na pokazach w Petersburgu ustanowił rekord długości lotu, osiągając 37 km.

Pionierzy polskiego lotnictwa zdobywali sławę na całym świecie. W Wielkopolsce i b. Kongresówce zabory tłumili ruch lotniczy. Grupa lwowska posiadała pod tym względem lepsze warunki, to też rozwijała się doskonale. Już w 1909 r. inż. Libański zorganizował na terenie Politechniki Lwowskiej Związek Awiatyczny. W 1910 powstało we Lwowie akcyjne towarzystwo budowy samolotów, które zbudowało kilka maszyn według projektów inż. Webera.

Lata 1911 i 1912 były okresem świetnego rozwoju zarówno lwowskiego Zw. Awiatycznego jak i organizacji lotniczej w Warszawie. W tym czasie sprowadzono do Lwowa słynnego pilota francuskiego Granda, który wykonał szereg lotów pokazowych na samolocie „Bleriot". W większych miastach Polski urządzali pokazy lotnicze piloci Michał Scypio del Campo i Haber-Włyński.

Wojna zahamowała zupełnie rozwój lotnictwa polskiego. Dopiero po wojnie ruch lotniczy budzi się, ogarnia całe społeczeństwo, a wynikami pracy konstruktorów i brawurą pilotów zdobywa sobie miejsce w pierwszych szeregach lotnictwa świata. Głównymi ogniskami pracy lotniczej są — Lwów i Warszawa.

Teraz, po 28 latach, we Lwowie urządzono drugą wystawę lotniczą— ogólnopolską. Teren Targów Wschodnich z trudem pomieścił wszystkie eksponaty, obrazujące blisko 30-letni dorobek lotnictwa polskiego. Przypadła ona na okres poczwórnego jubileuszu: w 20-lecie niepodległości, z czym łączy się wspomnienie bohaterskich lotników lwowskich walczących w listopadowych dniach tragicznych zmagań z Ukraińcami; drugim jubileuszem jest 15-lecie istnienia LOPP; trzecim — 10-lecie lotnictwa sportowego, a czwartym: 10-lecie pierwszej wyprawy szybowcowej pod Złoczowem.

Eksponaty wystawy rozmieszczone zostały we wszystkich pawilonach Targów Wschodnich. Wystawa obejmuje 8 działów. W Pałacu Sztuki, obok głównej sali recepcyjnej, znajduje się dział fotografii, sztuki lotniczej, Wojskowego Instytutu Fotograficznego, fotolotu przyziemnego oraz filatelistyki lotniczej.

Jedno z czołowych miejsc na wystawie zajmuje Zrzeszenie Przemysłowców Lotniczych, które zajęło 3 pawilony. W pawilonie 7 umieszczono eksponaty Instytutu Aerodynamicznego oraz Instytutu Techniki Szybownictwa i Motoszybownictwa. „Lot" znalazł się w pawilonie 6, a prasa i literatura lotnicza w efektownie prezentującym się stoisku w pawilonie 10-a. W pawilonie tym urządzono też kino. W pawilonie PKO zainstalowano krótkofalową radiostację, która będzie czynna przez cały czas trwania wystawy. W pawilonie centralnym ulokowały się okręgi woj. LOPP.

Jednym z najbardziej interesujących działów wystawy jest stoisko składnicy woj. LOPP. urządzone w pawilonie Pacykowa. Znalazły się tu wszelkiego rodzaju materiały do budowy modeli samolotów i szybowców, literatura z zakresu lotnictwa, obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej oraz wydawnictwa propagandowe. Poza tym znalazły się tu modele samolotów, wykonane całkowicie z bambusu i egzotycznego drzewa — balsy. Składnica ta jest specjalnie interesująca dla młodzieży i niewątpliwie przez młodzież będzie najliczniej odwiedzana.

W pawilonie 13 umieszczono przemysł chemiczny, elektrotechniczny oraz dział silników i płatowców o wartości dziś już historycznej. Niezwykle ciekawie zapowiada się dział Państwowych Zakładów Lotniczych. Dział płatowcowy PZL zajął prawie trzecią część wielkiego pawilonu Izby Przemysłowo - Handlowej. Zakłady te wystawiły słynny samolot myśliwski „PZL 11", jedną z najlepszych na świecie maszyn, wykonaną całkowicie z dur-aluminium.

Wystawione też będą modele samolotów: „PZL 24", „PZL 27", PZL

Nowa postać legendy

Śmierć płk. Eugeniusza Konowalca należy do tych wydarzeń, w których los bierze swą mściwą odpłatę. Nie tylko w tym jej sens, że od wybuchu bomby zginął człowiek, posługujący się terorem jako metodą walki, ale i w tej szczególnej okoliczności, że owa maszyna piekielna przemycona została pod postacią paczki pieniędzy, tych pieniędzy, które w każdej walucie były dobrze widziane przez szefa OUN. Nie wiadomo, w jakich banknotach — po markach i litach — miał być ów ostatni sukurs, ale łatwo się domyśleć, że miał być to żołd za jakieś nowe usługi.

Bardziej interesuje nas reakcja opinii ukraińskiej na wiadomość o śmierci Konowalca. Reakcja ta jest bardzo bliską żałoby. Płk. Konowalec w treści i formie obszernych nekrologów urasta do postaci świetlanej. Zestawia się go z Symeonem Petlurą. Nawet wysuwając pewne zastrzeżenia co do celowości i użyteczności kierowanej przez niego akcji terorystycznej, podkreśla się wyjątkowe walory tego człowieka i jest rzeczą niewątpliwą, że w glorii wejdzie on do panteonu narodowych bohaterów.

I tu jest coś, czego zrozumienie przychodzi nam, Polakom, z dużą trudnością. Możemy sobie wyobrazić, że Konowalec nie był Ukraińcem, lecz jedną z ważniejszych figur naszego ruchu niepodległościowego. Moglibyśmy w tym wypadku uznać jego zasługi, położone na polu organizacji wojska, jak Ukraińcy podnoszą fakt zorganizowania przez niego korpusu Siczowych Strzelców. Ale jest rzeczą pewną, że gdyby ostatnich kilkanaście lat działalności tego niepodległościowca wypełniało to, co składało się na całą późniejszą akcję Konowalca, jego pasowanie na herosa byłoby u nas niepodobieństwem. Mówiłoby się o tych latach, w których skrytobójczo zabijano na jego rozkaz także członków własnego narodu, kiedy niszczyło się programowo także prywatne mienie ludzi niewinnych, w których duch konspiracji dokonał spustoszeń wśród własnej młodzieży, — mówiłoby się o tym cicho i wstydliwie. Unikałoby się wszelkiej kanonizacji człowieka, który — bez względu na intencje — szedł szlakiem zbrodniczym i potępionym i jak senny koszmar unosił się bardziej nad własnym, niż obcym społeczeństwem.

Owszem, mamy i w swojej przeszłości podobne sylwetki. Znają je badacze epoki, nie wymieniają ich podręczniki szkolne, nie ma ich i nie będzie na narodowych ołtarzach. Elementarne skrupuły etyczne, wzgląd na chrześcijańską moralność i na wychowawcze następstwa nieoględnej gloryfikacji — to zawory, na które zamykamy przed takimi postaciami bramę panteonu. Jeśli już mamy je klasyfikować, to tylko jako postacie tragiczne.

Inaczej Ukraińcy. Konowalec nie jest tu pierwszym herosem. Ma poprzedników i znamy dobrze ich nazwiska. Z każdym z nich wiąże się wspomnienie zgliszcz i ruin, krwi i trupów, zdrady i podstępu. To ci, po których nie pozostawał kamień na kamieniu, a pamięć rzezi szła z pokolenia w pokolenie. Daremnie szukamy tam imion humanistów i jasnych przewodników, budowniczych i tych, którzy głosili ewangelię braterstwa. Jeśli tułają się ich cienie, to gdzieś w tyle i w mroku. Nike wieńczy inne czoła: Gontów, Żeleźniaków, Chmielnickich, Siczyńskich i tych, za których w ostatniej dobie odprawia się solenne panachidy.

Konowalec także przejdzie do legendy. Jego podobizny zapewne będą towarem poszukiwanym. Na to my nic nie poradzimy. Ale wolno nam powiedzieć, że dziwnie posępne i złowieszcze jest niebo, rozpościerające się z takimi bogami nad ukraińskim społeczeństwem.

——o——

37", „PZL 43" i „Wicher" komunikacyjny. Szczególną atrakcją będzie samolot „PZL 37", gdyż jest on najnowszym bombowcem polskiej konstrukcji, całkowicie wykonanym w Państwowych Zakładach Lotniczych. Ponieważ jednak ta olbrzymia maszyna nie zmieści się w żadnym pawilonie wystawy, będzie z kompletnym wyposażeniem ustawiona na lotnisku w Skniłowie, dostępna dla wszystkich zwiedzających.

Pod względem dekoracyjnym Wystawa przedstawia się pierwszorzędnie. Wspaniałą ozdobą wystawy jest pomnik lotnika na środku klombu przed Pałacem Sztuki. Efektownie przedstawia się też brama wejściowa, ozdobiona czarnymi samolocikami i chorągiewkami o barwach LOPP.

Wystawa otwarta będzie do 29-go czerwca.

Swastyka w Sudetach, czy bomby nad Pragą?

I.

Rok bieżący jest rokiem bogatym w wydarzenia na terenie międzynarodowym. Po Austrii i incydencie z Litwą, uwaga skupia się obecnie na Czechosłowacji, która już od dłuższego czasu znajduje się pod systematycznym obstrzałem Niemiec. Przyzwyczajona do pewnej ciągłości wypadków opinia, upatruje w aneksji Sudetów kolejny etap ekspansji niemieckiej, nie powstrzymywanej dotychczas w realizacji swoich zamierzeń. Wydaje się, że po pierwszym bezkarnym złamaniu traktatu pokojowego przez okupację Nadrenii, po zajęciu Austrii bez jednego wystrzału, przyszła kolej na zajęcie Sudetów. Sugestia ta narzuca się z nieodpartą siłą. Gwarancje Francji czy Anglii wydają się nieco wątpliwe. Wszak niedawno państwa te stawały w obronie Abisynii, potem Hiszpanii, a jednak... A gdzież są ci, którzy jeszcze rok temu gwarantowali Austrii niepodległość?...

Czechosłowacji poświęciła „Wola i Czyn" już dwa artykuły. Artykuły obiektywne, można powiedzieć, życzliwe. Treścią ich było zagadnienie konfiguracji politycznej Europy Środkowej i roli Niemiec. Diagnoza wtenczas postawiona okazała się słuszna, wnioski logiczne. Dziś pragniemy zająć się inną stroną tego zagadnienia, mianowicie stosunkiem Czechosłowacji do Polski. Nie będziemy sięgali zbyt daleko do historii. Jest to zadaniem dzieł historycznych a nie pisma periodycznego, które ma podawać materiał aktualny w pewnych rzutach perspektywicznych.

Jeżeli chcemy rzetelnie zająć się problemem polsko - czeskim, — to nie można pominąć czasów zaborczych. W jednakowym bowiem z Czechami znajdowaliśmy się położeniu a nawet, jak w Galicji, jednego mieliśmy zaborcę. Jeden i ten sam był zaborca — Austria, ale nie jeden i ten sam stosunek do niego. Tysiące Czechów zalało Austrię, okupując urzędy, pocztę, sądownictwo, policję, idąc ręka w rękę ze zwalczanym u nas rządem austriackim. Na ziemie polskie przybywali koloniści czescy, osiedlając się na żyznych gruntach. Z ludnością polską nie zżyli się bynajmniej, zachowując swój separatyzm do dziś dnia. Galicja stała się dla Czechów terenem eksploatacyjnym. Centraliści czescy, pełniąc funkcje wysokich nieraz urzędników w rządzie austriackim, potępiali wszelkie odruchy wolnościowe Polaków, starając się jednocześnie gospodarczo podnieść i rozbudować „kraje korony św. Wacława". Za podatki wyciskane z nędzy galicyjskiej, rosły bulwary nad Dunajem, powstawały fabryki na Morawach, rozbudowywał się ciężki przemysł austriacki na ziemiach czeskich.

Powstania polskie potępiali Czesi jako niebezpieczne i niepotrzebne mrzonki. W Rosji widzieli przewodniczkę słowiańszczyzny. Nawet tak znakomity uczony czeski jak Palacky nie potrafił ocenić polskich powstań i potępił je jako objaw niepożądany i dla Czechów niebezpieczny. Ba, ostrzegał nawet Czechów, by przypadkiem nie ujawnili swojej sympatii dla powstańców, bo jest to bardzo źle widziane w Petersburgu. Panslawizm Palackiego i Czechów był zawsze niczem innym jak tylko moskalofilstwem. To moskalofilstwo tkwiło u Czechów przez cały 19 w., a odezwało się w czasie wojny światowej w propozycji powołania jednego z Romanowych na... tron czeski. To dało Czechom carte blanche w swobodnym przechodzeniu na stronę rosyjską i formowaniu tam swoich wojsk.

Separatyzm i niechęć do Polaków zaznaczyły się nawet na tak przed wojną solidarnym gruncie, na terenie organizacyj robotniczych. Socjalizm polski w Austrii walczył nie tylko o poprawę bytu robotnika. Walczył również o polskich majstrów w fabrykach i na kopalniach, walczył o polski język, o polską szkołę. Żądania te nie były na rękę Czechom. Przeprowadzenie tych żądań musiałoby w konsekwencji doprowadzić do przywrócenia Śląskowi całkowicie polskiego charakteru. Na tym tle wynikły nieporozumienia, których nie usunęły nawet interwencje delegatów międzynarodowego komitetu i które doprowadziły do całkowitego wyodrębnienia polskiego ruchu robotniczego. „Bracia" Czesi i na tym polu pokazali co potrafią.

O tym jak w czasie wojny światowej Polacy walczyli w legionach i trzech armiach zaborczych równocześnie, podczas gdy Czesi przechodzili całymi pułkami na stronę rosyjską i zdradzali swych sprzymierzeńców — wspominać nie będziemy. Sprawy te do stosunków polsko-czeskich nie wnoszą nic nowego a należą właściwie do zakresu pojęć o bohaterstwie i honorze. Wspomnieć zato trzeba o jednym fakcie, przez Czechów pomijanym milczeniem. Wspomnieć trzeba o tym, że w r. 1915 nieznanego nikomu Masaryka Paderewski wprowadził w sfery rządowe Ameryki i Anglii. Wprowadził go w dobrej myśli jako przedstawiciela bratniego narodu, który, w podobnym jak Polska będąc położeniu, pragnął uzyskać wolność i swobodę stanowienia o swoich losach. Masaryk rychło przeszedł oczekiwania mistrza. Sprytny polityk, potrafił doskonale wyzyskać każdą sytuację na swoją korzyść.

Ukoronowaniem „przyjaznej" działalności Czechów była sprawa Śląska Cieszyńskiego. W dniu 5. XI. 1918 r. Polska Partia Narodowa na Śląsku i Zemsky Narodni Vybor zawierają ugodę co do Podziału Śląska Cieszyńskiego, ratyfikowaną przez oba rządy: warszawski i praski. Zdawałoby się, że sprawa zostanie załatwiona zgodnie, po sąsiedzku. Jednak w niedługim czasie prasa czeska rozpoczyna gwałtowną kampanię, najwidoczniej inspirowaną, za przyłączeniem Śląska Cieszyńskiego do Czechosłowacji. Wysunięto „prawa historyczne" i argumenty gospodarcze. Prawa historyczne opierały się na akcie Kazimierza Wielkiego, który w roku 1335 zrzekł się praw do tych księstw, które uznały zwierzchnictwo Jana Luksemburskiego. Bezpodstawność tych „argumentów" nie potrzeba szczegółowo uzasadniać; wystarczy wspomnieć tylko o tym, że zwierzchnictwo to uznały m. in. także księstwo oświęcimskie i zatorskie, których polskości nikt kwestionować nie może. Nie można było również kwestionować polskości Śląska Cieszyńskiego, bo Polacy stanowili tam przygniatającą większość. Spis ludności z r. 1910 wykazał — jak to podaje Kazimierz Piątkowski („Stosunki narodowościowe w księstwie Cieszyńskim"), — że Polaków było tam 76,4%, — Czechów 14% — i Niemców 9,6%.

Nie zrażało to bynajmniej Czechów i nie podważało ich „praw historycznych". Prawa te zostały obalone dopiero przez Konferencję Pokojową, o czym z żalem pisze Benesz: „Konferencja Pokojowa jak najbardziej stanowczo odrzuciła przyznanie komukolwiek praw historycznych tak teoretycznie, jak i praktycznie" („Boj o Tesinsko", str. 63). Argumentem gospodarczym nie można było zbyt przekonywująco szermować, bo ugoda polsko - czeska z 5. XI. 1918 r. rozdzieliła Śląsk zupełnie sprawiedliwie. Pozostało tylko jedno: zająć Śląsk Cieszyński przemocą, bo Polska, zajęta własną wojną z bolszewikami, jest jeszcze zbyt słaba, by się mogła obronić przed tym ciosem znienacka zadanym.

W trzy miesiące po podpisaniu wzajemnej umowy, wojska czeskie rozpoczynają walkę o dworzec kolejowy w Boguminie. Cios był niespodziewany i przez to skuteczny. Śląsk, pozbawiony prawie zupełnie wojska, nie mógł się opierać. Wprawdzie ludność sama porywała za broń, broniła każdej piędzi ziemi niemal; walki trwały o każdy dom, o każdą kopalnię. Kilkanaście razy większe siły regularnej armii czeskiej złamały opór. Odznaczyli się przy tym ci „bracia" okrucieństwem, przypominającym całkowicie bolszewików. Specjalnością tych bohaterów było pastwienie się nad bezbronną ludnością. Interwencja Polski u państw koalicyjnych powstrzymała dalszą ofenzywę wojsk czeskich. O przynależności spornych terytoriów miał zadecydować plebiscyt.

Fortuna kołem się toczy...

Zainteresowanie, które okazujemy Rumunii od dłuższego czasu, jest usprawiedliwione, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że są to nasi najbliżsi sąsiedzi i sprzymierzeńcy, którzy na wypadek wojny staną z nami w jednym szeregu.

Nasilenie artykułów w prasie na ten temat jest raz większe raz mniejsze, zależnie od okoliczności i wydarzeń politycznych. Jednak nie ma dnia, aby nie było notatki choć bardzo krótkiej, o jakimś wydarzeniu, mającym wpływ na rozwój Rumunii, pod względem politycznym, gospodarczym czy kulturalnym.

Czytamy więc o wizytach króla Karola, śledzimy z uwagą przebieg pobytu premiera rumuńskiego w Polsce, dowiadujemy się, że mamy już Ambasadę rumuńską, (trzeba nadmienić, że Ambasada polska będzie pierwszą ambasadą w Rumunii) lecz jakąż sensacją dla przeciętnego czytelnika musi być proces Corneliu Codreanu, szefa byłej Żelaznej Gwardii a później organizacji pod nazwą „Totul pro tara" (wszystko dla ojczyzny). Zdziwienie było wielkie, bo wszak rząd rumuński odważył się wypowiedzieć walkę jednej z największych partii politycznych rumuńskich. Kto nie zetknął się bezpośrednio z tą organizacją, ten ani w przybliżeniu nie potrafi sobie zdać sprawy, jaki rozrost i rozmach w ostatnich latach przybrała Żelazna Gwardia, kierowana sprężystą ręką wodzów, a raczej jednego Codreanu, cieszącego się wielkim zaufaniem u swoich członków. Na jedno skinięcie swego dyktatora, młodzież zdobywała się na morderstwa, które przypłacała następnie dożywotnim więzieniem (kara śmierci nie jest praktykowana). Czyż premier Duca nie przypłacił śmiercią wrogie nastawienie do Żelaznej Gwardii? Czyż wielu członków, posądzonych o zdradę interesów partii nie odkupiło krwią popełnionych błędów? I zdawało się, że nic już nie przeszkodzi dążeniom dyktatorskim ambitnego szefa, gdy rząd, zobaczywszy wreszcie niebezpieczeństwo, pokazał silną rękę. Czy walka będzie zwycięstwem jednej, czy drugiej strony, trudno przewidzieć. Walka z partią, gdy ona jest u szczytu swojej potęgi, jest więcej niż trudna, o ile w ogóle nie beznadziejna.

Kilkakrotnie już postanawiano ograniczyć anarchię w państwie przez rozwiązanie Żelaznej Gwardii, aby zezwolić na tę samą organizację, lecz pod zmienioną nazwą. Zakazano nosić zielone koszule i oznaki, lecz przymykano oczy na zebrania i różne manifestacje, które niekiedy przemieniały się w święta narodowe.

Wystarczy tutaj przypomnieć pogrzeb dwóch studentów rumuńskich, którzy zginęli w walce za narodową Hiszpanię, a każdy zrozumie bezsilność rządu doniedawna, względem tej części społeczeństwa, która już wkrótce widziała siebie u władzy.

Ciosem była dla nich śmierć jednego z przywódców duchowych a przede wszystkim finansisty, w miarę możności, imprez politycznych stowarzyszenia Gen. księcia Cantacuziny. Pod firmą starego generała, zasłużonego pomimo wszystko patrioty, można było wiele przemycić. Lecz wszystko ma swój koniec. Miejmy nadzieję, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. A było ono naprawdę wielkie. Wszak od fanatyków ideologii, gotowych na wszystko, zdolnych narazić życie i mienie, można się wszystkiego spodziewać. Kto wie jakie niespodzianki czekałyby Rumunię w najbliższej przyszłości, gdyby tolerowano nadal ambitne dążenia pewnych ludzi? Kto wie do czego doprowadziłaby anarchia ludzi, występujących pod nazwą narodowców rumuńskich, której to nazwy mają odwagę używać dla tumanienia szerszych mas, idących na lep pięknych haseł. Bo czyż ma prawo nazywać siebie narodowcem i patriotą ten, który uprawia politykę we własnym państwie za pieniądze obce? Bo czyż ma prawo nazywać siebie narodowcem ten, który w imię idei szkodzi interesom państwa? Na to każdy da sobie sam odpowiedź.

—o—

Realizacja programu endecji i młodzieży wszechpolskiej

Dnia 27 maja br. na zebraniu w Klubie Demokr. we Lwowie stud. WSHZ Jerzy Lerski-Sołtysik, syn znanego i popularnego lekarza-chirurga, miał odczyt o wartościach ideałów demokratycznych. Wykład utrzymany w tonie spokojnym i rzeczowym omawiał również sposoby prowadzenia dyskusyj politycznych.

W czasie odczytu wtargnęła na salę, wyważając drzwi i wybijając szyby bojówka endecka, dzika banda, której członkami jak się okazało byli akademicy, studenci wyższych uczelni, a więc koledzy prelegenta, młodzież z której każdy naród chciałby być dumny i widzieć w niej przyszłych realizatorów swych myśli, dążeń i pragnień.

Organizator wyprawy znany już ze swych walecznych wyczynów, a ostatnio z napadu na stud. med. Wójcikowskiego, Jan Kornas (także stud. med.) na czele swego „dzielnego" oddziału rozpoczął systematyczne i wykazujące pewną rutynę bicie obecnych, przede wszystkim Lerskiego i demolowanie lokalu. Po przykładowym wyłożeniu w ten sposób obecnym zasadniczych dogmatów i idei endeckich, bojówkarze zbiegli.

Jak z tekstu prelekcji przedłożonej władzom wynika, Lerski występował przeciw niewłaściwym metodom walki o słuszność tych czy innych haseł politycznych. Sami narodowcy postarali się, aby obecni mogli się przekonać o słuszności wywodów p. Lerskiego.

Masakra wykonana przez fachowców trwała wprawdzie krótko, ale skończyła się odwiezieniem ciężko pobitego prelegenta do szpitala, gdzie stwierdzono 5 głębokich ran na głowie, wybicie 4 zębów, złamanie szczęki i jednolitą krwawą ranę na całych piersiach.

Akademicy endeccy, którzy brali udział w tej zaszczytnej dla nich walce są władzom bezpieczeństwa dobrze znani, a wódz ich Jan Kornas, który na zebraniu młodzieżowym w listopadzie u. r. publicznie potępił metody bicia i gwałtu jest pod kluczem.

Warto również zaznaczyć, że ci wymienieni zamieszkują między jedną wyprawą a drugą dom akademicki na ul. Łozińskiego.

Powyższe notujemy i podajemy do wiadomości publicznej dziś kiedy nieprzebrzmiały jeszcze echa haniebnego napadu bojówki endeckiej na młodzież ludową 11 listopada 37 r. oraz na pochód robotniczy w dniu 1 maja br. a także na akademika Wójcikowskiego.

Tragiczne następstwa tych napadów są ogólnie znane. Ostatni występ członków Młodzieży Wszechpolskiej jest jeszcze jednym przykładem zdziczenia powszechnego, zaniku jakichkolwiek szlachetniejszych uczuć, poczucia etyki i sprawiedliwości wśród naszej młodzieży, która przecież kiedyś ma dojść do władzy, sądzić innych za zbrodnie i występki przeciw prawu, rozkazywać i rządzić.

Dziwnym również wydaje nam się stanowisko władz: podobno policja zjawiła się na miejscu dopiero w pół godziny po zaalarmowaniu, a zbrodniarze długo jeszcze po fakcie znajdowali się na wolności.

Podajemy to wszystko nie spowodu jakiejś złośliwości przeciwko komukolwiek, lecz w głębokiej trosce o moralność naszej młodzieży i ku opamiętaniu się tych starszych, którzy inspirują i demoralizują młodych i naiwnych ludzi.

—o—

W GÓRĘ SERCA!

Dnia 19 maja 1938 r. przed rozpoczęciem obrad Rady Naczelnej Obozu Zjednoczenia Narodowego wygłosił Ksiądz Rektor Wóycicki wzniosłą mowę, której wyjątki postaramy się tu przytoczyć.

Porównując Państwo do domu — mówił — „Iluż mądrości, usymbolizowanej w ewangeliście Mateuszu, potrzeba budowniczym, murarzom wspólnego domu. W naszych czasach — wobec niesłychanie skomplikowanych potrzeb państwowych — jasności myśli nie mniej potrzeba działaczowi publicznemu, niż wodzowi armii. Cały splot współczesnych zagadnień politycznych, gospodarczych, społecznych, kulturalnych krzyczy o codzienne rozwiązanie. Tu — jak w obliczu odmętów oceanu żeglarz bez busoli i steru, — tak mąż stanu i działacz społeczny gubi się i zginie, jeśli nie ma busoli i steru w mądrości politycznej, wspartej na zasadach moralnych".

Czasy teraźniejsze uważa kaznodzieja za trudne lecz „Musimy płynąć często przeciw prądowi. I dlatego właśnie potrzeba nam męstwa do zapewnienia Polsce bezpieczeństwa, potęgi, jak potrzeba go było do wywalczenia niepodległości. Tajemnicą powodzenia w działaniu obywatelskim jest właśnie męstwo i wiara w swe siły. Niczego się nie dokona, jeśli się nie wierzy w siebie".

„Doprowadza się do końca wszystko, albo prawie wszystko, czego się mocno pragnie i w co się mocno wierzy. Potrzeba tylko cierpliwości, wytrwałej woli, mocnego postanowienia rozpoczynania na nowo, aż do pełnego zwycięstwa".

„Przeciwnicy i przeciwności, jak rzeźbiarz, wyrzeźbią duchowe oblicze w najdrobniejszych nawet szczegółach. Napaści przeciwników wywołują w silnych co najwyżej — pobłażliwy uśmiech".

„Ze Wschodu prze czerwona pożoga rewolucji społecznej. Wprawdzie przekształca się tam z każdym dniem coraz wyraźniej w jakąś niesamowitą sarabandę, spływającą strumieniami krwi i łez, ale nazewnątrz ludzi jeszcze ponęta nowości i zachwalanego postępu.

Z Zachodu dochodzi nas odgłos nacjonalistycznego szału i wojującego neopogaństwa, łudząc zewnętrznym blaskiem państwa totalnego, owego quasi - panaceum na wszystkie bolączki wewnętrzne. Zaś wewnątrz kraju — przestarzały ład społeczny, pełen sprzeczności i niepewności jutra, nie dający gwarancji, by to jutro Polski było pewne, mocarne, sprawiedliwe a braterskie. Wszyscy czujemy, że stanęliśmy wobec zagadki czasów nowych, nowej doby w życiu Polski. Przed nami ogrom zadań i pracy".

Aby nie zepsuć wrażenia czytelnikowi do tych kilku wyjątków mowy Wielkiego kaznodziei nie dodamy nic więcej. Niech patriotyzm i idea przemówią same z tych nielicznych słów.

—o—

Prawdziwym przyjacielem pisma jest ten,

kto mu zjednywa

nowych prenumeratorów

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

„Przebudowa społ.-gospodarcza wsi" — „A jednak z kmieci"

(Pod tym tytułem zabiera drugi głos w dyskusji p. Jan Olszowski kier. Uniw. Wiejsk. w Grzędzie.)

Ludzie, którzy przez dłuższy okres czasu mają możność przewodzić wśród innych i odgrywać rolę czynnika kierowniczego, bardzo często nie mogą zrozumieć tego, że świat może się obejść bez nich i że mogą przyjść po nich inni i odegrać tę samą rolę nawet z lepszym wynikiem. Chociaż się więc masy, którym przodowali, odwracają od nich, chociaż wskazują im na szkodliwość ich prymatu dla dobra powszechnego, choć same znajdują lepsze drogi rozwoju, oni wołają wielkim głosem, że ginie „sprawa", mimo, iż dobrze wiedzą, że upada tylko ich przeżyte przodownictwo.

Takie stanowisko zajmuje obecnie większość potomków dawnej polskiej szlachty i magnaterii w stosunku do chłopów, którzy odważają się przechodzić mimo nich i rozwiązywać swoje sprawy bez oglądania się na nich. Ostatnio rozwinęła się w prasie żywa dyskusja na temat nowych form społeczno - gospodarczego życia wsi, wydano też kilka broszur, omawiających to zagadnienie. W wypowiedziach tych zarysowały się wyraźnie dwa fronty. Wieś to nie tylko wielomilionowy element chłopski, ale także i parę tysięcy dworów z tyluż rodzinami ziemiańskimi, spadkobiercami tradycyj szlacheckich. Nie z chłopskiej winy te dwa czynniki stanęły naprzeciw siebie i nie dziś się to stało, ale i dziś jeszcze, kiedy zaczyna się dyskusja o sprawach wsi, kiedy chłopi wysuną swoje postulaty i projekty, w których za podstawę bierze się wieś chłopską, a nie dwór, rozlega się po całej Polsce głośny krzyk po drugiej stronie barykady: — „Polska w niebezpieczeństwie! Ratujcie sprawę polską!" — Nie wielu tam ludzi po tej drugiej stronie, ale za to krzyczą oni głośno — i zwykle skutecznie, bo... u góry.

Pismo „Wola i Czyn" zapoczątkowało w N-rze 6-tym dyskusję na temat „przebudowy społeczno - gospodarczej wsi" artykułem p. L. Liebersbacha. Artykuł ten zajął się projektem przeorganizowania życia wsi zgodnie z dążeniami mas chłopskich, a więc w oparciu o organizację drobnego rolnictwa oraz samorząd terytorialny i gospodarczy, dający mocniejszy resonans czynnikowi społecznemu. Punkt ciężkości rozważań leżał w stwierdzeniu, że szukając dróg rozwoju wsi, myśleć należy przede wszystkim o elemencie chłopskim, bo to jest czynnik najważniejszy zarówno dla samej wsi jak i dla Państwa. Przebudowa społeczno - gospodarcza wsi musi więc iść w kierunku umożliwienia masie chłopskiej odegrania w tym życiu roli czynnej a zlikwidowania takich anomalij, jakie obserwujemy obecnie, że w organizacjach rolniczych najważniejszą rolę (już na podstawie większych uprawnień statutowych — jak w M. T. Rze i Związku Izb i Org. Roln.) odgrywają przedstawiciele większej własności, których interesy krzyżują się z interesami drobnego rolnictwa, a którzy przecież wśród ogółu rolniczego stanowią znikomy odsetek.

W przedostatnim numerze „Woli i Czynu" pojawił się też głos, pochodzący z drugiej strony „frontu": mam na myśli artykuł p. Bron. Janowskiego. Autor nie dyskutuje nad projektami reorganizacji rolnictwa, usiłuje natomiast rozprawić się z tezami, dotyczącymi przebudowy ustroju rolnego (zwłaszcza o ile chodzi o reformę rolną) oraz roli chłopów w przeszłości historycznej i w Polsce współczesnej. P. Bronisław Janowski w dążeniu do pomniejszenia roli, jaką w przebudowie życia wsi odegrać może reforma rolna, oparł się na rozesłanej niedawno do różnych instytucyj i organizacyj broszurze, noszącej tytuł „Zagadnienie rozwoju gospodarczego wsi polskiej", której autorem jest p. Jan Stecki (współzałożyciel Związku Ziemian wraz z Kaz. Fudakowskim i innymi). Argumenty, wysuwane w tej sprawie, nie są nowe: słyszeliśmy je już nieraz od obrońców wielkiej własności. Najważniejsze z nich są dwa: 1) ziemi folwarcznej do rozparcelowania jest za mało, bo urzędowa statystyka podaje cyfry nierealne, 2) rozparcelowanie folwarków będzie pozbawieniem Państwa zasobów żywnościowych na wypadek wojny. Natomiast obaj autorzy: J. Stecki i reklamujący jego broszurę B. Janowski podają inną receptę (przysłowiowe rumiankowe lekarstwo): podniesienie produkcji rolniczej, opieka nad przemysłem rolnym, odpływ ludności wiejskiej do innych zawodów, niepodzielność gospodarstw, melioracje, likwidacja serwitutów, zaprowadzenie hipotek, zagospodarowanie wspólnot no — i ostatecznie parcelacja... gruntów państwowych, publicznych — a na końcu dodają wreszcie słowo, które im przez usta nie chciało przejść: „i folwarcznych"... ale zaraz obwarowują się: „jednak bez przymusu wywłaszczeniowego". Jednym słowem: jak my sami zechcemy — to sprzedamy ziemię folwarczną. Nie wskazuje tylko żaden z tych panów, w jaki to cudowny sposób można żyć znośnie, z liczną rodziną — na 2—4 morgach, przy największej intenzyfikacji... nawet po zaprowadzeniu hipoteki! Hipoteka lekarstwem na brak ziemi, a myśmy tego dotychczas nie wiedzieli! folwarków za mało, ale są „przecież wspólnoty, są grunty państwowe i publiczne! Nie macie chleba, to jedzcie ciastka! Że te wspólnoty, to przeważnie kamieńce nadrzeczne czy skrawki łąk i zagajników, a grunty państwowe, których zresztą jest nie wiele i tak są parcelowane, o tym się nie mówi.

Sejm szlachecki, który zebrał się podczas powstania listopadowego, zajmował się także sprawą uwłaszczenia włościan dla pozyskania ich do udziału w powstaniu. Szlachta godziła się na projekt, dopóki mówiono o chłopach w dobrach królewskich; kiedy jednak zaczęto mówić także o chłopach we wsiach szlacheckich, projekt odrzucono z oburzeniem. Po stu latach — nie wiele się zmieniło pod tym względem. Doszła tylko... hipoteka.

Pan B. Janowski jest gotów uznać za zupełnie uzasadniony wniosek całkowitego rozparcelowania większej własności bez jakiegokolwiek odszkodowania, brak mu tylko bliższych danych historycznych, wskazujących na to, że latyfundia powstały po większej części z ziemi, zagrabionej kiedyś przemocą chłopom przez przodków dzisiejszych magnatów. Aby mu zatem ułatwić decyzję, podaję odnośne źródła historyczne:

Aleksander Świętochowski, opierając się na cytowanych źródłach, pisze w „Historii chłopów polskich" t. I. str. 80:

Czy jednakże chłop piastowski nie mógł pod żadną postacią być zupełnym, bezwzględnym właścicielem ziemi? Balzer („Rewizja teorii" Kwart. hist. XII, Lwów 1898) twierdzi, że taki chłop wówczas rzeczywiście istniał, *ale powoli wyzuł go z niej pan.* „Samowolne usuwanie dziedziców z ich gruntu przez panów bez wynagrodzenia jest nową zasadą, która się dopiero wytwarzać poczyna lub niedawno przedtem wytworzyła. Ich prawo własności... teraz już częściowo zapoznawane, sięga początkiem swoim w daleką przeszłość, a im dalej pójdziemy wstecz, tym bardziej będziemy musieli uznawać je silnym, tym powszechniejszym".

str. 140.: Od końca też XIV w. wzmaga się coraz szybciej proces przemiany chłopskich gospodarstw drobnodzierżawnych na dworskie, który dojdzie do największego natężenia po uzyskaniu dostępu do morza.

str. 184 ...rozwój gospodarczy, a w nim bardzo wpływowy czynnik, uzyskanie dostępu do morza — wywołał przemianę gospodarstw chłopskich na folwarczne. Proces ten w XVI w. postępował szybko. Od dwóch lub pełnego łanu zeszli kmiecie w tej epoce na półłanek lub ćwierć. Na początku XVI w. — według Pawińskiego („Źródła dziejowe, Wielkopolska" 165, Porówn. A. Szelągowskiego „Wrost państwa polskiego w XV i XVII w." Lwów, 1904, s. 346 i in.) — przeciętna wielkość posiadłości chłopskiej wynosiła 15—30 morgów, a majątków dworskich dochodziła do 180, w końcu XVI w. do 600. *Właściciel folwarku powiększał go* uprawą nieużytków i karczunkiem*), albo *„co się działo najczęściej, spędził chłopów, odebrał im grunty,* a na pozostałych rozłożył obowiązek pańszczyźniany uprawiania wszystkich gruntów folwarcznych, zarówno dawniejszych, jak nowowolnych". „Starano się powiększyć gospodarstwo folwarczne — pisze Rembowski („Historia prawa wieczystego — czynsz". s. 11. Porówn. E. Stawiskiego „Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego" Warszawa, 1857, s. 60) *wcielając doń samowolnie najlepsze łany kmiece* a na pozostawione w posiadaniu włościan grunty nakładano coraz większe czynsze. Ponieważ stan szlachecki nie płacił żadnych podatków do skarbu Rzeczypospolitej, a nawet od folwarcznego zboża i wołów nie płacił cła wywozowego, przeto wyraźną dla niego korzyścią było *wcielić do folwarku łany chłopów* i szlachty zagrodowej. Tym sposobem bowiem całą kwotę podatków, którą tracił skarb państwa, pan mógł wybrać pod postacią różnych opłat i powinności oraz zwiększyć przez to samo dochód z folwarku". Oprócz wypierania włościan i obcinania im ziemi, panowie powiększali obszary folwarczne jeszcze inną drogą, mianowicie skupem gruntów sołtysich i wójtowskich, do czego, jak wiemy, mieli otwartą drogę statutem Jagiełły. Przyczyny ekonomiczne i okresy tego wchłaniania ziem dziedziców chłopskich przez gospodarstwa szlacheckie dobrze ujmuje w krótkim przedstawieniu Piekosiński (Kwartalnik hist. Lwów, 1891, s. 601).

*) robili to oczywiście chłopi.

Czy te źródła historyczne wystarczą?

Oczywiście, że reforma rolna jest tylko jednym z fragmentów przebudowy ustroju rolnego, że w parze z nią muszą być dokonane inne prace: melioracja, komasacja, rozbudowa przemysu przetwórczego produktów rolnych, rozwój spółdzielczości, przemysłu chałupniczego itd., nie mniej jednak zgodzić się musimy na to, że trudno mówić o intenzyfikacji czy o znaczeniu komasacji dla 3-morgowego gospodarstwa. Wyliczając więc środki zmierzające do poprawy gospodarki chłopskiej, musimy zmienić porządek, proponowany przez pp. Steckiego i powtarzającego za nim pacierz Janowskiego, a więc najpierw uzupełnienie gospodarstw karłowatych drogą parcelacji folwarków (oczywiście wykonanej przez państwo, a nie pozostawionej dobrej woli dziedziców), a zatem intenzyfikacja gospodarki rolnej, niepodzielność gruntów itd. Na dobrą wolę ziemian liczyć nie można po kilkuwiekowym doświadczeniu. Jeśli nawet w tragicznych dla Polski chwilach nie zdobyli się na akt sprawiedliwości społecznej i pozwolili na to, że dopiero państwa zaborcze nadały chłopom ziemię na własność, to trudno przypuścić ,by obecnie zdecydowali się na oddanie chłopom obszarów, włączonych do folwarków przed paru wiekami, względnie na zwrócenie państwu dawnych królewszczyzn, których już za czasów zygmuntowskich nie można było od ich przodków wyegzekwować. Opór garstki uprzywilejowanych posiadaczy nie może być kamieniem, o który miałoby się potknąć szczęście narodu w jego najliczniejszej warstwie. Że ziemi z parcelacji nie wystarczy dla wszystkich, to jeszcze nie dostateczna przyczyna, by zaniechać choć częściowego złagodzenia głodu ziemi. Czyż dlatego, że nie zatrudniamy wszystkich bezrobotnych, mamy zaprzestać akcji zatrudniania ich?

Badania ekonomistów nie zaślepionych, interesem osobistym (np. śp. Wł. Grabski) wykazał, że kilkanaście gospodarstw chłopskich, wyprodukuje więcej i taniej utrzyma gospodarstwa chłopskie, niż folwarki. o wielkości łącznego obszaru tych gospodarstw. Nie jest więc gołosłownym stwierdzeniem, że dla obronności państwa ważniejsze są zdrowe gospodarstwa chłapskie, niż folwarki. Pan B. Janowski wskazuje, że podczas ostatniej wojny trzeba było wy-

syłać „ekspedycje karne" by móc wydostać od poszczególnych chłopów po kilkanaście kilogramów zboża. Tak jest, wojskom państw zaborczych chłopi nie chcieli dawać nic, ale tworzącej się armii polskiej chętnie oddawali wszystko, samorzutnie organizując zbiórkę produktów (n. p. w powiatach województwa lubelskiego), podczas gdy obszarnicy, którzy bez oporu dostawiali zapasy dla zaborców, po powstaniu Państwa polskiego odmawiali nawet płacenia podatków — (zwłaszcza w okresie Rządu Ludowego) i trzeba ich było zmuszać do tego właśnie „ekspedycjami karnymi" (n. p. w powiecie puławskim). A czyż materiał ludzki żadnej tu nie odgrywa roli? Czyż ważniejszym dla obrony kraju będzie jeden koń folwarczny, niż kilkunastu synów chłopskich, niosących swoją krew Ojczyźnie? Ostatnia wojna, na którą się p. B. Janowski powołuje, wykazała także i to, że w drugim i trzecim roku wojny nie można już zapasów żywnościowych szukać w folwarkach, dziedzic bowiem dla pewności wyjechał w spokojne okolice i grunty folwarczne leżą odłogiem, , a chłop „zawsze wierny" ziemi, sieje nawet pod gradem gul. Po wojnie gospodarstwa chłopskie liżą się z ran szybko i dostarczają państwu zasobów żywnościowych i gotówkowych z podatków, folwarki zaś nie tylko, że uchylają się od płacenia podatków, lecz jeszcze domagają się od państwa odszkodowania za zniszczenie wojenne, względnie zasiłków za zagospodarowanie.

Obrońcy całości fortun ziemiańskich nie poprzestają na tym, że interes własny względnie interes swojej grupy przedstawiają jak interes państwa, lecz starają się jeszcze pomniejszyć a nawet całkowicie zbagatelizować rolę chłopów w życiu państwowym. Także i pod tym względem mają tradycje: dawna szlachta opierała swoje roszczenia do przywilejów na tej zasadzie, że naród to nie masy chłopskie, lecz garść herbowych. Dziś pan B. Janowski chce w nas wmówić, że synowie chłopscy stanowili nieliczny wyjątek w szeregach niepodległościowych. Jest to takie samo kłamstwo, jak kłamliwymi były raporty oficerów carskich podczas powstania styczniowego, uspakajające cara, że chłopi polscy stoją po stronie rosyjskiej.

Więc w Drużynach Bartoszowych, Podhalańskich Strzeleckich, w Legionach i P. O. W. byli nie chłopi i robotnicy tylko ziemianie? Jeśli panowie chcecie fałszować historię, to przynajmniej zaczekajcie, aż wymrze pokolenie, które ją tworzyło i to, które te fakty pamięta — no i fałszujcie ją tam, gdzie to fałszerstwo nie będzie tak bijące w oczy!

Ukoronowaniem wywodów p. B. Janowskiego jest zdanie, przyjmujące jako nowość stwierdzenie faktu, że Polska z kmieci powstała. Czyż i na to przytaczać dokumenty historyczne? Czyż człowiek, który się zetknął choćby z najbardziej przystępnym podręcznikiem historii może nie wiedzieć, że w okresie wytwarzania się państwowości polskiej nie było szlachty, tylko kmiecie i kmiece drużyny wojów? Czyż człowiek kulturalny może nie wiedzieć, że podwaliną kultury polskiej jest kmieca kultura słowiańska? Chyba, że p. B. Janowski chce bronić „hipotezy najazdu" — to należałoby postawić sprawę otwarcie — inaczej bowiem dyskutowalibyśmy z najedźcą!

Faktem jest, że chłopi dzisiejsi, nauczeni doświadczeniem przeszłości, nie chcą już pozwolić, by „szlachta" wyręczała ich w decydowaniu o sprawach wsi i pragną wnieść swe siły twórcze do budowy nowej Rzeczypospolitej polskiej.

Na podstawie dotychczasowych doświadczeń można mieć nie tylko nadzieję, ale pewność, że powrót kmieci-chłopów do dawnej roli gospodarzy kraju uwolni Polskę od tych kłopotów, w które wpędziła ją samowola i egoizm szlachty, i zapewni jej najpomyślniejszy rozwój.

Wystawa pomocy naukowych w Liceum Krzemienieckim

Staraniem Kuratorium O. S. Wołyńskiego i Liceum Krzemienieckiego zorganizowana została z okazji konferencji nauczycieli zajęć prakt. Kuratorium. Woł. w dniach 14—16 maja w gmachu L. K. w Krzemieńcu wystawa pomocy naukowych, podzielona na 3 zasadnicze działy. Pierwszy — motoryzacja w szkołach średnich (motocykle, modele, ich mechanizm, tablice z przekrojami maszynerii, tłumaczące działanie mechanizmu, silnik auta, przepisy jazdy i t. p.); drugi — pomoce naukowe dla zajęć praktycznych w szkołach średnich (szafka z narzędziami, przyrządy do cięcia szkła i t. p.); trzeci — pomoce naukowe dla szkół powszechnych. Dział ostatni był najliczniej przedstawiony ,wykonany w całości przez młodzież licealnych zakładów szkolnych. Inicjatywa dostarczania pomocy naukowych szkołom powszechnym, wśród których istnieje wielkie a niemal zupełnie niezaspokojone zapotrzebowanie na te rzeczy, wyszła od młodzieży Liceum Krzemienieckiego, kiedy przy okazji wyjazdów z obchodami na dzień 11 listopada do dalszych i bliższych wsi pow. krzemienieckiego zapoznała się ona z brakami pomocy naukowych w szkołach. Początkowo klasy dorywczo zawoziły podarki szkole, do której wyjeżdżały z obchodem, z czasem akcja ta zamieniła się w planową (od r. 1936) i kierownictwo jej objęło Zjednoczenie Młodzieży Licealnej, organizacja, jednocząca w sobie młodzież wszystkich zakładów szkolnych Liceum Krzemienieckiego. Organizacja ta przeprowadziła wszystkie wspólne poczynania młodzieży zakładów L. K.

Wystawa dała obraz prac Zjednoczenia w zakresie wykonywania pomocy naukowych. Widzimy przyrządy do fizyki i chemii, w których wykorzystane są w bardzo pomysłowy sposób zużyte żarówki i szkiełka od lamp, flaszki i pudełka od pasty do obuwia, pomoce do przyrody żywej (sporządzane przez młodzież Szkoły Rolniczo-Leśnej w Białokrynicy, bowiem w wykonywaniu pomocy panuje specjalizacja — Szkoła Rolna daje okazy przyrody, szkoła stolarska gablotki i pudełka itd.); pomoce do nauki jęz. polskiego, historii — tablice ortograficzne, tablice z naklejonymi wycinkami z dzienników i gazet do historii Legionów polskich, posegregowane w teczkach ilustracje do geografii i przyrody. Z boku na stoliku szyszki, korki, zużyte zapałki — obok wykonane przez dzieci Szkoły Ćwiczeń zabawki z tych materiałów. Na ścianach afisze propagandowe: „Zbieraj nieużytki!" „Jadąc do domu, pamiętaj przywieźć nieużytki" i t. d. Oczywiście nie wszystkie pomoce zrobione są z nieużytków — wiele rzeczy robi się z nowych materiałów, które dostarcza Liceum, a młodzież przeważnie w ramach godzin zajęć praktycznych daje swoją pracę. Przesyła się takie nieużytki na wieś szkołom, które pewne pomoce naukowe mogą i powinny same wykonać. Młodzież przeprowadza te prace z dużym zapałem, dbając o przydatność, trwałość i estetykę wykonanych przedmiotów, dostosowując się do potrzeb, wykazywanych przez szkoły. Ustalił się zwyczaj, że jakaś klasa opiekuje się daną szkołą, utrzymując z nią przez cały rok kontakt i zawozi jej otrzymane od Zjednoczenia pomoce, dla tej szkoły najkonieczniejsze. Liceum Krzemienieckie pomaga młodzieży w tej akcji, przy czym rozdział pomocy dokonywany będzie w roku następnym stosownie do okazanej przez klasę aktywności. Przy składnicy krzemienieckiej tych pomocy tworzy się zarazem poradnia pomocy naukowych, zawierająca wzory takowych. Kierownictwo w projektowaniu pomocy objęło Pedagogium L. K. jako zakład najbliżej tych spraw stojący, wykonaniem zajmują się wszystkie klasy szkół, stosownie do swych możliwości.

Młodzież prowadzi akcję propagandową wśród starszego społeczeństwa, które również zaofiarowało współpracę w zbieraniu nieużytków. W związku z ogłoszoną przez Ministerstwo W. R. i O. P. zbiórką łomu żelaznego na F. O. N. urządzono na wystawie stoisko propagandowe, informujące o przydatności łomu na te cele.

W bieżącym roku szkolnym ofiarowano około 500 pomocy naukowych (ekierki, cyrkle, łówki, zeszyty, szafki z narzędziami, linie, gablotki z owadami, modele latające i t. p.).

Akcja dostarczania pomocy naukowych obejmuje przede wszystkim szkoły I i II stopnia w powiecie krzemienieckim. Dotąd zaopatrzono (częściowo) 18 szkół w powiecie.

—o—

Jutro może być za późno...

Pod tym tytułem ukazał się w „Dzienniku Polskim" artykuł Posła Dr B. Wojciechowskiego na temat O. Z. N.

„Nie znalazło hasło konsolidacji, pisze autor, zarzutów nawet ze strony formacji politycznych, wywodzących się z dnia wczorajszego — formacji opartych na zróżnicowaniu politycznych społeczeństwa i ze zróżnicowania tego czerpiących rację swego istnienia. Zarówno bowiem w szeregach zwolenników tych formacji, jak i w całym pozapartyjnym społeczeństwie, idea zjednoczenia tkwiła w podświadomości i została wyczarowana przez Wodza Naczelnego z głębokich pokładów duszy zbiorowej Narodu".

„Ale któż może być tak naiwny, czytamy dalej, aby na chwilę przypuszczał, że w nowych warunkach politycznych, w jedenaście lat po przewrocie majowym, nie znajdą się u nas wewnątrz jednostki, czy grupki, które przeciwstawią się programowi, ogłoszonemu przez Obóz Zjednoczenia Narodowego? Ludzie, których uczył walki o Polskę i polityki Józef Piłsudski — a Jego wielki duch unosi się nad naszą obecną pracą — przeżywali nieraz przykre momenty, gdy od ich gromady odpadli w różnych czasach nie tylko doraźni wolentarze, zaprzągnięci do konkretnych prac, ale i jednostki mocno związane z ideologią Piłsudskiego. Odpadali też od czasu do czasu maruderzy i ludzie zużyci duchowo.

W Legionach wytworzył się nawet specjalny typ łazika, który potrafił z dobrą miną trwać w batalionie do pierwszej bitwy, a po tym znikał z horyzontu. Takim świetnym typem łazika, który przeszedł już do literatury, jest ów niby-ułan z „Gałązki Rozmarynu", który po wkroczeniu pierwszej „Kadrowej" do Kielc, „dogaduje się" w ciągu kilkunastu minut z miejscowym obywatelem rusofilem i wspólnie z nim biada nad przegraną z góry sprawą Legionów.

Trzon jednak szeregów walczących o wielkość i honor Polski wczoraj i dziś pozostał niezmieniony. Nie jeden z tych, co teraz odchodzą, wróci jeszcze. Innych nie ma co żałować. Nie spełnią się w żadnym razie tęskne przepowiednie naszych przeciwników o wewnętrznej dekonsolidacji Obozu Zjednoczenia Narodowego.

A dalej jakby w odpowiedzi na zaczepki przeciwników, w krótkich słowach opisuje autor, jak wygląda konsolidacja wewnątrz Stronnictwa Narodowego, które „wodzi prym w stawianiu zarzutów wewnętrznego rozbicia Obozu Zjednoczenia Narodowego.

„Jesteśmy bardzo ciekawi, czytamy, jak się konsoliduje liberalny ekonomista Roman Rybarski z totalistycznym „führerem" Kowalskim, dla którego nie istnieje wogóle żadna ekonomia, — a jak praktycznie współpracuje inny „praworządny liberał", zacny profesor Stanisław Głąbiński z organizatorami bojówek Sekcji młodych Stronnictwa Narodowego, załatwiających w sposób „totalno - kastetowy" kwestie polityczno - ekonomiczne.

Warto również zapytać „łagodnie" liberalnego p. M. Niedziałkowskiego. w jaki sposób przeprowadza on konsolidacje swojego kierunku państwowo-polskiego z komunizującym skrzydłem P. P. S.

A już zgoła trudno wyrozumieć zjednoczeniowy front starych katolickich gospodarzy dawnego „Piasta" w Stronnictwie Ludowym ze skrajnie lewicowymi elementami działaczy „Wiciowych".

Przypuszczalnie te kilka wyjątków z dość obszernego artykułu wystarczą czytelnikowi, bez dodawania zbytecznych komentarzy, gdyż rezultat, o który autorowi chodzi, w zupełności przytoczonymi cytatami osiągnął.

ŚWIĘTO ARMII REZERWOWEJ

Do wielu historycznych dni Lwowa, zaliczonych w dziejach tego miasta do najbardziej pamiętnych zdarzeń, przybył dzień 26 maja — dzień przyjazdu Marszałka Śmigłego-Rydza na XV jubileuszowy zjazd Związku oficerów i podhorążych rezerwy. Na zjazd ten m. in. przybyli: min. Ulrych, gen. Musse — delegat ambasadora Francji, generałowie: Górecki, Jarnuszkiewicz, Wieczorkiewicz, prezesi okręgów ZOR oraz oficerowie i podchorążowie rezerwy o liczbie ponad 4.000 osób.

Nie zamierzamy podawać tu szczegółowego sprawozdania z uroczystości zjazdowych. Czytelnicy „Woli i Czynu" znają przebieg tego zjazdu ze sprawozdań dzienników. Chodzi nam tylko o podkreślenie szeregu fragmentów, które nad całokształtem wielkiego święta armii rezerwowej dominowały swoją siłą dynamiczną, które stanowiły najsilniejsze akcenty uroczystości, przemówień, obrad, rezolucyj.

*

Na cmentarzu obrońców Lwowa, w obecności Marszałka Śmigłego-Rydza, odbył się uroczysty apel, do którego stanęli oficerowie rezerwy: Czesław Mączyński — nacz. komendant obrony Lwowa, Stanisław Nilski-Łapiński — szef sztabu nacz. komendy w szkole Sienkiewicza i wielu innych, spoczywających pod darniną cmentarza Orląt lwowskich.

W apelu tym, wysłuchanym w głębokiej ciszy, był najwyższy ton patosu.

*

Prezes Federacji PZOO, gen. Górecki, złożył na cmentarzu Obrońców Lwowa w imieniu wszystkich oficerów i podhorążych rezerwy ślubowanie:

„Spuściznę, którą wyście pozostawili swoją bohaterską śmiercią, życiem chcemy pomnażać".

*

Marszałek Śmigły-Rydz był obecny przy odsłonięciu pomnika poległych w obronie Polski Francuzów. Pomnik ten przedstawia rzeźbę żołnierza francuskiego naturalnej wielkości w pełnym rynsztunku bojowym. Po obu stronach znajdują się wyryte nazwiska poległych oficerów i żołnierzy francuskich. Na płycie dolnej jest tarcza z herbem Francji pod którą znajduje się urna z ziemią z pobojowisk francuskich: Notre Dame, Verdun, Le Targotte, Debois. Ziemia ta została z aktem erekcyjnym wmurowana do płyty pomnika.

*

Na placu Halickim odbyła się defilada. Naczelny Wódz zajął miejsce na trybunie honorowej i wojskowym ukłonem dziękował za żywiołowe okrzyki wielotysięcznych tłumów na Jego cześć. W pewnych momentach okrzyki te przeistaczały się w huraganową, długą niemilknącą wrzawę.

*

Akademia w Teatrze Wielkim. Nowe spontaniczne objawy entuzjazmu. Zgromadzona przed teatrem ludność wznosi okrzyki.

Marszałek, przy dźwiękach hymnu narodowego, ukazał się na balkonie. Owacje na cześć Wodza osiągnęły punkt kulminacyjny. Publiczność podchwyciła melodię hymnu narodowego, rozległ się potężny śpiew.

Min. Ulrych wygłosił przemówienie o wielkich zamierzeniach i wielkich celach. Przemówienie to było żywiołowo oklaskiwane. Oto najbardziej znamienne fragmenty:

— Kto umie patrzeć w przyszłość — mówił minister — kto umie trzy ostatnie dziesiątki lat naszego życia publicznego, poczynając od początku ruchu niepodległościowego, poddać głębszej analizie, ten stwierdzi, że wypełniła je praca olbrzymia wielkiego Marszałka i praca oddanych mu ludzi. Jest to głęboka prawda i trzeba sobie z tej prawdy dobrze zdać sprawę, albowiem zaczęta praca w służbie Polski nigdy nie ustawała, bez względu na to, czy Wielki Marszałek sprawował władzę, czy był zdala od władzy. Czy jest ktoś w Polsce, kto na chwilę mógłby sądzić że praca ta mogła kiedykolwiek ustać, nawet w chwili największego wstrząsu, jaki przeżyła Polska w dniu zgonu Józefa Piłsudskiego.

Już dwa lata w ogniu krytyk i namiętności debat kształtuje się nowa myśl polityczna, której wykładnikiem jest Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę wśród jakich trudności i w jakiej atmosferze „gderliwego pieniactwa" dokonuje się formowanie nowego obozu, lecz trudności są po to by je przezwyciężać.

I dalej:

Tutaj na terenie Lwowa, na odwiecznej polskiej ziemi, gdzie obok nas zamieszkuje pobratymczy naród ruski, z którym na uczciwych zasadach kształtujemy współżycie szanując jego odrębność plemienną, lecz zarazem potęgując siły żywotne naszego narodu na tej ziemi — wobec Naczelnego Wodza Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, który przy najwyższym poparciu Pana Prezydenta prof. dr Ignacego Mościckiego podjął dzieło zjednoczenia narodowego, życzę wam w imieniu Rządu Polskiego, abyście w służbie narodowej nie ustawali.

*

W teatrze Wielkim, w obecności Marszałka Śmigłego-Rydza, złożono hołd wszystkim hetmanom: Janowi Tarnowskiemu, Konstantemu Ostrogskiemu, Janowi Zamojskiemu, Stanisławowi Żółkiewskiemu, Karolowi Chodkiewiczowi, Lwu Sapiesze, Stanisławowi Potockiemu, Stefanowi Czarneckiemu, Janowi Sobieskiemu, Ks. Józefowi Poniatowskiemu, Tadeuszowi Kościuszce. Gen. Henrykowi Dąbrowskiemu, Romualdowi Traugutowi. W tym momencie rozlega się werbel. Następuje chwila ciszy i. skupienia — oddanie hołdu Pierwszemu Marszałkowi Odrodzonej Rzeczypospolitej Józefowi Piłsudskiemu. Chóry lwowskie śpiewają pieśń bojową „Bogurodzica".

Prezes ZOR, gen. Górecki, przemówienie swoje do Marszałka Śmigłego-Rydza, zaczął od pełnych głębokiej wymowy słów:

— Panie Marszałku! który tej Ziemi Czerwieńskiej Synem jesteś — przez samą Twoją tutaj wśród nas obecność dajesz tej wielkiej prawdzie świadectwo, że Ziemia ta krwią w ciągu długich wieków obficie skrapiana — stanowi i po wiek wieków stanowić będzie „Sacro Sanctum" Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

A następnie, zwracając się do przedstawiciela powstańców 1863-go roku:

— Panie Poruczniku Wandalli! Związek Oficerów Rezerwy Rzeczpospolitej Polskiej w 75 rocznicę Powstania styczniowego, w 20 rocznicę odzyskania Niepodległości i w 15 rocznicę swego istnienia, postanowił nadać wszystkim żyjącym jeszcze uczestnikom powstania 63 roku godność członków honorowych naszego Związku. Chcemy tym razem oddać Wam należny hołd, chcemy w ten sposób zespolić w naszych oficerskich szeregach kilka generacji, chcemy, by nasi najmłodsi koledzy podchorążowie, widząc Was w naszych szeregach, głęboko sobie uświadomili tę silną spójnię, jaka istnieje między Waszym pokoleniem 63 roku, między pokoleniem, które pod rozkazami Wielkiego Marszałka Niepodległość Polski wywalczyło i tymi pokoleniami, którym z czasem pokażemy nasze sławą okryte sztandary, by nadal o wielkość Polski i Jej mocarstwowe stanowisko w świecie pracowały i walczyły.

*

Jakie są wyniki 3-dniowych obrad zjazdu ZOR? Od komentarzy, ogólnikowych omówień i sprawozdań o wiele wymowniejsze będą rezolucje zjazdowe: w sprawie udziału ZOR w ogólnonarodowym ruchu politycznym, w sprawie żydowskiej i w sprawie ochrony Centralnego Okręgu Przemysłowego. Przytaczamy je w dosłownym brzmieniu:

I.

„ZOR, jako narodowa organizacja ogólno - patriotyczna i ponad partyjna nie może i nie powinna brać udziału w wystąpieniach politycznych nie mających charakteru ogólnonarodowego, a będącymi objawami wzajemnych walk pomiędzy obozami i partiami, na które dzieli się społeczeństwo polskie, społeczeństwo rozumiane w sensie zbiorowości prawych obywateli z wyłączeniem elementów, podlegających wpływom obcych agentur".

II.

Walny Zjazd Zw. Oficerów rezerwy Rz. P. zważywszy, że jedynym gospodarzem w państwie polskim jest naród polski, — że krótka historia odrodzonej Ojczyzny naszej dała szereg dowodów, iż państwo nasze może liczyć jedynie na siły własnego narodu, — że szereg wielkich procesów komunistycznych z ostatniego czasu dowiódł jeszcze raz niezbicie, iż głównym rozsadnikiem w Polsce akcji wywrotowej są żydzi,

że zachowanie się żydostwa — w dniach, kiedy aktualną była sprawa litewska, — przekonać musiało ostatecznie, iż w momentach decydujących, państwo polskie — nie tylko nie będzie mogło liczyć choćby na lojalność żydów, ale — przeciwnie — będzie się musiało liczyć z ich robotą antypaństwową, —

że odporność naszego pogranicza zależy od ilości i siły polskich rąk pracujących na naszych kresach, —

ŻĄDAMY: oparcia naszego całego naszego życia publicznego i prywatnego — o zasady bezwzględnie narodowe i chrześcijańskie,

jak najenergiczniejszego zwalczania przez Rząd wszelkich prądów, godzących w wiarę i spoistość narodu polskiego, a w szczególności, inspirowanego i kierowanego przez żydo - komunę, —

zupełnego wyeliminowania z armii — jako czynnika zwierzchniczego,— ze szkolnictwa i z wszystkich urzędów — elementów niepolskich, — a przede wszystkim żydów, —

ustawowej ochrony kultury polskiej przed szkodliwymi wpływami żydowskimi, —

ustawowej ochrony Centralnego Okręgu Przemysłowego, który z natury rzeczy, będzie centralnym okręgiem przemysłu wojennego, — przed gospodarczą inwazją żydowską, —

wykluczenia z Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, do której należą także Zw. Oficerów Rez. — „Związku żydów Byłych Uczestników Walk o Niepodległość Polski".

——o——

Niezapomniana wystawa

Ze sfer pocztowych piszą nam: Zamknięta onegdaj wystawa Pamiątek po Marszałku Piłsudskim, zorganizowana przez Pocztowe Przysposobienie Wojskowe, była dowodem prawdziwego kultu i głębokiego pietyzmu dla pamięci ukochanego Wodza. Postawiona na wysokim poziomie, daleka od szablonu i prób amatorskich, dała Wystawa w szeregu pierwszorzędnych eksponatów pouczającą retrospektywę życia, prac i umiłowań Wielkiego Marszałka, dla którego Polska była „pacierzem co płacze i piorunem co błyska". Portrety, rzeźby, bogaty zbiór fotografii, dokumentów, książek i odznak, oto materiały, z których złożono całość prawdziwie piękną, wymowną, owianą sentymentem i pociągającą urokiem. Dioramicznie potraktowany obraz „Ostatnia droga Marszałka" budził smętne wspomnienia tych przeżyć najboleśniejszych, gdy przed trzema laty Polska cała spowiła się kirem i na Wawel, między króle, płynęła w szarzyźnie osowiałego nieba milcząca trumna, święta relikwia narodu.

Widzieliśmy na Wystawie ludzi różnego stanu, wieku i zawodów. Nie brakło też jasnych główek dziecięcych, a były to widzowie najpożądańsi, widzowie o sercach i umysłach czystych, nieskażonych jeszcze doktryną i orientacjami. Mogło być ich jednak znacznie więcej, gdyby Inspektorat szkolny, który niejednokrotnie poleca imprezy kinowe — ustosunkował się również pozytywnie do tak pięknej Wystawy i stosownym okólnikiem zalecił jej zwiedzenie. Mimo odpowiedniego zarządzenia Kuratorium, okólnika takiego nie było, a jeżeli niektóre szkoły Wystawę zwiedziły, uczyniły to na skutek komunikatów wysłanych do szkół przez organizatorów wystawy. Władze szkolne nie doceniły ważności tej wielkiej „pomocy wychowawczej", która w formie Wystawy Pamiątek po Marszałku Piłsudskim, oddała zwiedzającym nieprzemijające korzyści.

——o——

DR. H. J. R.

„SUTERYNY"

W chaosie zagadnień dnia, w nawale problemów aktualnej polityki krajowej i zagranicznej, zapominamy o jednej sprawie, która pozornie jest małoważną, a jednak wyciska swe piętno na rozlicznych zjawiskach życia społecznego. Mam na myśli ciemną, wilgotną, słońca i powietrza pozbawioną suterynę, tę samą, o której przed kilkunastu laty pisano rzewnie w naszej beletrystyce, o której likwidację upominali się lekarze i socjolodzy, a która jednak ostała się mimo wszystko, choć po wichurze wojennej wiele rzeczy zreformowano, wiele zjawisk przepadło i wiele problemów weszło na nowe tory. Niestety, jeśli o suteryny chodzi, nic się nie zmieniło. Stróż Walenty po dawnemu otrzymuje do swej dyspozycji koszmarną klatkę, choć obserwatorowi wydaje się, gdy ogląda z zewnątrz okazały nowoczesny gmach a od wewnątrz wytworną, artystycznie wykonaną klatkę schodową, że i dla stróża Walentego powinna była zabłysnąć jutrzenka. Dla Walentego i jego współtowarzyszy, mieszkających również w suterynach w charakterze lokatorów.

Budownictwo mieszkaniowe poczyniło w ostatnich latach ogromne postępy. We Lwowie, podobnie zresztą jak i w innych miastach, ruszył nareszcie z miejsca ruch budowiany i na każdym bodaj kroku widać nową kamienicę. Szczególnie dużo buduje się na peryferiach, gdzie powstały i powstają w dalszym ciągu całe nowoczesne, piękne dzielnice. Żeromski, gdyby widział dzisiejsze polskie dzielnice willowe mógłby z dumą pomyśleć, że wyczarowuje się sen o szklanych domach. Istotnie sporo tych domów, w zestawieniu z przedwojennymi, wygląda jak czarowne pałace. Niestety jednak nowe budownictwo niewiele zmienia sytuację klas najbiedniejszych. Przebywają one dalej w nieodpowiednich mieszkaniach w dawnych swoich dzielnicach, gdzie większość kamienic niema jeszcze kanalizacji, a często nawet i wody wodociągowej. Co gorsza, nawet w tych dzielnicach mieszkają przeważnie w suterynach, które liczniejsze są, właśnie w dzielnicach przez biedaków zamieszkiwanych. A gdy w jakiejś nowej kamienicy robotnik zapyta się czy i dla niego nie znajdzie się czasem jakieś pomieszczenie, — dowiaduje się: „owszem, możemy jedną z piwnic zamienić dla pana na suterynowe mieszkanie"!

Ludzie mieszkający wyżej, choćby na parterze nie zdają sobie sprawy, co za bezmiar tragedii mieści się w słowie „suteryna". Ludzie, którzy szewcowi, w suterynie mieszkającemu ,podają buty do naprawy przez okienko, albo za pośrednictwem służącej, nie przypuszczają nawet, w jakich warunkach żyje pod ziemią szewc i tysiące mu podobnych nieszczęśników. O rozmiarach tragedii suterynowej niechaj świadczy suchy ustęp urzędowego sprawozdania fizyka lwowskiego dr Legeżyńskiego. Czytamy tam: „Sprawa budowy mieszkań dla robotników nie postąpiła naprzód, to też prócz mieszkań zgodnie z wymogami higieny urządzonych dla robotników kolejowych przy ul. Bilińskich i Na Błonie, dalej mieszkań dla robotników przedsiębiorstwa Lewińskiego i Sp. skupia się ludność robotnicza przeważnie w mieszkaniach położonych na kresach miasta i w II i III dzielnicy, jakoteż w śródmieściu przy ul. Boimów, Blacharskiej, Serbskiej, często w mieszkaniach suterynowych, jednoizbowych. Mieszkania te brudne, przepełnione lokatorami i wilgotne stają się nieraz rozsadnikami chorób zakaźnych". Tak pisano w 1906. Od tego czasu nie wiele się chyba we Lwowie zmieniło. Inne tylko będą adresy dobrych mieszkań robotniczych, a kolonia T. O. R. na Sygniówce — nie łudźmy się — nie spowodowała jeszcze rewolucji w tej dziedzinie.

Według danych statystycznych z 1900 r. we Lwowie było wtedy na ogólną liczbę 33.800 mieszkań aż 1435 w piwnicy, czyli suterynowych. Prawie 5% ogółu mieszkań było suterynowych, a ponieważ wiadomo, że w takich norach gęstość zaludnienia przekracza wszelkie pojęcia i możliwości, przyjąć więc można, że w 1900 r. co najmniej dziesiąta część ludności żyła w suterynowych mieszkaniach. Spis ludności z 1931 nie uwzględnił już osobno mieszkań piwnicznych. Ze spisu tego dowiadujemy się, że na ogólną ilość 72.030 mieszkań, jednoizbowych było 22.961, czyli prawie jedna trzecia. Spis ludności wykazał też, że w 4.202 mieszkaniach jednoizbowych mieszka po 4 do 6 osób, a 7138 mieszkań jednoizbowych zamieszkiwanych jest przez 6 i więcej osób. Mieszkania jednoizbowe są zwykle niewielkie. Otóż ok. 80.000 lwowian, czyli ¼ ludności mieszka w jednopokojowych mieszkaniach że w tych jednoizbowych mieszkaniach poważny odsetek stanowią suteryny nie ulega chyba wątpliwości, choć statystyka o tym wstydliwie milczy.

Wyręczy nas w tej dziedzinie częściowo statystyka przeprowadzona przed kilku laty przez nauczyciela p. Walentę w jednej ze szkół warszawskich. Na 340 uczni uczęszczających do owej szkoły, w suterynach mieszkało 43, tj. 12%! Jeżeli do tego dodamy, że w jednopokojowych mieszkaniach mieszkało 181 dzieci, to okaże się, że wynik, jaki ta ankieta dała, jest przerażający.

Suteryna, udzielne i mroczne królestwo podziemne, do którego rzadko docierają życiodajne promienie słoneczne, a za to przeważnie chorobotwórczy grzyb, ta nora pod powierzchnią ulicy osadzona, służąca w jednej kamienicy do przechowywania kartofli, a w drugiej jako ubikacja za 20 zł dla biedoty, ta suteryna nie jest zamieszkiwana tylko przez małe rodziny. Mimo niebywałej ciasnoty, jaka tam panuje, mimo, że często niema nawet miejsca na barłóg, mieszkają tam jeszcze często i sublokatorzy, nędzarze jeszcze gorszej kategorii, których nie stać nawet na suterynę na własny niepodzielny użytek. Bardzo często zdarza się, że w tych warunkach ktoś z rodziny zapada na gruźlicę. Choroba ma z początku przebieg niegroźny. Ot trochę się pluje. Plwociny gromadzą się. W niewietrzonym, zimnym pokoiku-chlewie zarazki szybko się rozchodzą, a ludzie niedożywiani bardzo są wrażliwi na prątki Kocha. Co raz więcej ludzi kaszle, co raz częściej kaszel rozlega się chóralnie i coraz obfitsze żniwo zbiera w takich izdebkach mrocznych bezlitosna śmierć. Ona jedyna nie zapomina o ludziach z podziemi i nazbyt często ich nawiedza.

To, co w tej chwili wyraziłem, nie jest dla sfer naukowych żadną rewelacją. Statystyka potwierdza wymownie związek między śmiertelnością a mieszkaniem. Statystycy wyliczyli w przedwojennym Berlinie, że w dzielnicach w których na jeden dom wypadało po 91 mieszkańców, umierało rocznie 38 osób na tysiąc, a natomiast w dzielnicach, gdzie ludność dochodziła tylko do 34 mieszkańców na dom, śmiertelność nie przekraczała 18 na tysiąc, czyli była mniejsza o połowę!

W Warszawie prawdę tę odkryto jeszcze w 1891 i ogłoszono odpowiednie cyfry w literaturze naukowej. W Krakowie przed wojną, ówczesny lekarz miejski dr Janiszewski, późniejszy minister zdrowia publicznego w Rzeczypospolitej i profesor higieny na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie, badając stosunki zdrowotne zaalarmował opinię donośnym wołaniem: znieść suteryny!

I trzeba było długich lat, aby dopiero w ostatnich tygodniach wydano w Krakowie zakaz budowy suteryn, ale tylko w pewnych dzielnicach.

Zamiast cytować najrozmaitsze cyfry, świadczące o naszej mizerii mieszkaniowej, wspomnę jeszcze, że problemy miezkaniowe zaprzątają uwagę lekarzy i socjologów od dawnych stosunkowo czasów. Nie zapominajmy, że już w 1866 angielski Glasgow, jako pierwsze miasto na świecie, przebudował w myśl wymogów higieny całe dzielnice. W tej samej Anglii prowadzona jest od szeregu lat energiczna akcja burzenia tzw. „slums", tj. dzielnic robotniczych, urągających prymitywnym wymogom higieny. W październiku ub. r. akcja ta została zaostrzona i rozszerzona, tak że w tej chwili obejmuje ona wszelkie problemy higieny społecznej. Stany Zjednoczone, gdzie ta sama akcja jest w toku, miały nawet odwagę jako jedyne zresztą państwo, pokazać na Wystawie światowej w Paryżu, jak wyglądały domki, które obecnie się likwiduje. We Francji rząd Daladiera zapowiedział m. in. burzenie starych domów i budowanie na szeroką skalę odpowiednich pomieszkań.

Nie zapomnijmy, że nie jest rzeczą ważną budowanie olbrzymich, imponujących szpitali, ale że trzeba zacząć od podstaw, t. zn. od dostarczania ogółowi zdrowych mieszkań i od zupełnego, a natychmiastowego zlikwidowania suteryn. W przeciwnym razie nie starczy nam funduszów na budowę zakładów leczniczych i Ubezpieczalni. Gdybyśmy widzeli, że ktoś zaczyna budowę drapacza chmur od dziesiątego piętra nazwalibyśmy go jednomyślnie szaleńcem, a czymże — zapytuję — jest budowanie wspaniałych, farmurem wykładanych gmachów na ośrodki sportowe, gdy dziecko po krótkich ćwiczeniach musi wrócić do nory, tam spędzić resztę godzin dnia i tam nocować. Czy wspomnieć jeszcze, że w tych norach okna nie są często nigdy otwierane, że ze ścian spływają strugi wody, że woń stęchlizny nigdy stamtąd nie ustępuje i że kto raz do takiego mieszkania się wprowadza, nigdy nie opuszcza go bez reumatyzmu, gruźlicy czy innej choroby.

Względy społeczne, względy higieniczne, wreszcie względy ogólnoludzkie wymagają, by sprawie suterynowej raz nareszcie urwać łeb, aby ta ohydna zmora setek tysięcy, by ta hydra, dławiąca egzystencję tylu jednostek, przestała istnieć.

Izby Rolnicze, dbając w swoim zakresie o podniesienie wsi propagują hasło nie tylko znośnych budowli dla ludzi, ale też czystych stajen i chlewów. Powstają liczne wsie wzorowe, propaganda wydaje znakomite rezultaty, bydło małopolskie zaczyna „mieszkać" prawie jak bydło duńskie, ale ludziom w wielkich miastach pozwala się dalej przebywać w norach i wciąż wznosi się nowe suteryny choć dobrze wiadomo, że mieszkańcy ich cierpieć będą na gruźlicę i krzywicę, na błednicę i choroby stawów itp itp.

Pod okiem władz wznosi się budowle, o których każdy lekarz może z czystym sumieniem powiedzieć, że równają się kazamatom. Buduje się te kazamaty legalnie i żadnemu przedsiębiorcy budowlanemu nie przyjdzie na myśl wydać jeszcze trochę pieniędzy, i pomyśleć nie tylko o luksusowym wyposażeniu wyższych pięter, ale też o objęciu pieczą kilku dolnych kondygnacyj, które nadają się znakomicie na piwnice, nadają się na schrony podczas wojny, ale nie nadają się na trwałe pomieszczenie i mieszkanie dla ludzi!

Wymaga tego zresztą także interes obrony Państwa, który to wzgląd powinien decydować we wszystkich naszych poczynaniach. Nie zapomnijmy, że największym skarbem w majątku F. O. N. jest żywy człowiek. — Przyszły obrońca Ojczyzny musi być zdrowym, bo w przeciwnym razie na nic się zdadzą wszystkie karabiny. Muszą je przecież nosić żywi ludzie, aby przy pomocy tych karabinów odeprzeć najeźdźcę, któryby się odważył targnąć na całość naszej Ojczyzny. A interes obrony Państwa wymaga, aby żadnych nor nie było i by żadnych suteryn jako mieszkań dla ludzi nie budowano.

Problem ten wymaga ustawowego uregulowania, a podobna inicjatywa poselska zostałaby na pewno w zupełności poparta przez Rząd.

UCZCZENIE PAMIĘCI LOTNIKÓW AMERYKAŃSKICH POLEGŁYCH ZA POLSKĘ

Dorocznym zwyczajem, w dniu 30 maja, w którym w Ameryce obchodzi się święto zmarłych, odbyła się staraniem Straży Mogił Polskich Bohaterów, na cmentarzu Obrońców Lwowa uroczystość oddania hołdu pamięci 3 Lotników amerykańskich z Eskadry im. Tadeusza Kościuszki. Z 16 lotników, 13 powróciło do swej Ojczyzny, trzech zaś poległo, a mianowicie śp. Edmund Graves, Arthur Kelli i Mac Callum. Zwłoki ich spoczywają w grobowcu na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Po odegraniu przez orkiestrę wojskową hymnu Boże coś Polskę, wygłosił podniosłe przemówienie pastor kościoła ewang. ks. major K. Banszel, poczym przemawiali Wice prezydent miasta Lwowa Fr. Irzyk, Prezeska Straży Mogił P. B. p. Wanda Mazanowska, Pułk. Pilot T. Prauss imieniem Lotnictwa polskiego, oraz Attaché wojsk. amer. major John Winslow, imieniem Ambasady Stanów Zjedn. Ameryki półn., którego przemówienie przetłumaczył na język polski Dr St. Mazanowski. Odegraniem hymnów państwowych amerykańskiego i polskiego zakończyła się ta podniosła uroczystość, która jest dowodem wdzięczności narodu Polskiego dla Bohaterów z za Oceanu.

U stóp pomnika złożono następujące wieńce: Od Straży Mogił Polskich Bohaterów, od Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, od Posterunku Kapitana Artura H. Kelly Nr 339 Amer. Legion w Chicago III, od Ambasady Stanów Zjedn. Amer. Półn., od Eskadry Lotniczej Nr III im. T. Kościuszki, od I Grupy Lotniczej, od Miasta Lwowa, od Oficerów i Podoficerów Garnizonu Lwowskiego i od Miejskiej Stacji Opieki nad Matką i dzieckiem.

SPRAWY KULTURY

Walka o lwowski teatr popularny

(ś) Endeckie „Słowo Narodowe” uprawia opozycję z zasady. To jest jego linią polityczną. W piśmie tego typu, pojęcia w rodzaju: racja, cel, logika — odgrywają, jak wiadomo, rolę zawsze drugorzędną. Chodzi mu przede wszystkim o szum. Byle szum — jak u nieśmiertelnego mickiewiczowskiego Jankiela, którego w swoim czasie, w okresie robienia wielkiego szumu przez pewnych, spod ciemnej gwiazdy, typów politycznych, przypomniał Piłsudski.

Ostatnio „Słowo Narodowe” robi szum dookoła Powszechnego Teatru Żołnierza. O co chodzi? Oto komenda garnizonu lwowskiego oraz oddział lwowski OZN i SPPOS skierowali do zarządu miejskiego wspólne pismo, w którym domagają się reaktywowania Teatru Żołnierza, podając w motywach, że placówka ta, przekształcona na Teatr Powszechny, dostępny dla najszerszych mas, mogłaby spełniać poważną rolę instrumentu bezpośredniego oddziaływania na środowiska ludzi nawet najuboższych, co szczególnie w obecnym okresie realizacji postulatów moralnego dozbrajania społeczeństwa miałoby znaczenie olbrzymie.

To właśnie, te proste, nieskomplikowane argumenty, spowodowały atak furii w redakcji endeckiego pisma. Uderzyli na alarm, że sztuka polska znalazła się w niebezpieczeństwie i zaczęli przy tym wysilać się na złośliwość ku rozweselaniu swoich czytelników, co jednak nie wypadło zręcznie, bo mimo wszystko, do tego trzeba mieć chociaż trochę poczucia humoru, a im brak niestety poczucia nawet własnej śmieszności.

Jak się przedstawia w rzeczywistości sprawa Teatru Powszechnego i w ogóle teatrów lwowskich? Spróbujmy przedstawić istotny stan rzeczy spokojnie, obiektywnie, bez złośliwości pod czyimkolwiek adresem, nie dlatego jednak, że piszący te słowa czuje się kaleką pod względem złośliwości, przeciwnie — mógłby napewno z dużym powodzeniem, mówiąc językiem Wiecha, odstawiać drakę ze „Słowa Narodowego” i nie „omieszka” tego zrobić przy najbliższej sposobności. Ale teraz chodzi o rzeczowe omówienie zagadnienia poważnego.

A więc jest faktem, że Lwów przeżywa nowy kryzys teatralny. Temu nie zaprzeczy chyba nawet endeckie „Słowo”. Jeszcze daleko do września, a już losy tego sezonu, rozpoczętego pod znakiem wielkich nadziei, zostały przesądzone. Dyr. Warnecki, po kilkumiesięcznych niefortunnych próbach zdobywania dziwnie jakoś w ostatnich czasach opornej publiczności lwowskiej, zrezygnował z dalszego kierownictwa teatrami miejskimi. Sytuacja wytworzyła się bowiem beznadziejna. Zgrywanie się aktorów przed pustymi krzesłami stawało się rzeczą normalną.

W takich warunkach należało powziąć krok stanowczy, gdyż sytuacji nie ratowała nawet dość pokaźna jak na polskie stosunki teatralne, subwencja miasta w wysokości 780.000 zł. Miał więc dyr. Warnecki do wyboru dwie możliwości: zrezygnować z kierownictwa, lub żądać większej subwencji. Ta druga koncepcja okazała się jednak nierealna. Na skierowaną do zarządu miasta prośbę dyr. Warneckiego o zwiększenie subwencji o kilkadziesiąt tysięcy złotych — decyzja była odmowna. Pozostała więc koncepcja druga — realna i zrealizowana. Od września kierownictwo teatrów lwowskich objąć ma dyr. Szpakiewicz, który już siódmy rok kieruje teatrem wileńskim.

Co stało się powodem niepowodzeń dyr. Warneckiego na gruncie lwowskim? jak wiadomo, ogólnie zwala się winę na... pauperyzację. To słowo powtarzało się przez pewien czas we wszystkich artykułach lwowskiej prasy, nb. bardzo życzliwie odnoszącej się do poczynań nowego dyrektora i rzetelnie spełniającej zadania tzw. rozbudzenia zainteresowań teatralnych.

A jednak publiczność zawiodła. Najlepsze wysiłki reżyserów i dekoratorów nie pomogły. Nie pomógł też zespół aktorski — dobrany starannie i kierowany wypróbowaną ręką. Po cichu, w kawiarniach, między sobą, mówiło się co prawda o wielu błędach dyr. Warneckiego, ale trudno dziś powiedzieć, czy właśnie te błędy pociągnęły za sobą konsekwencje. Przede wszystkim, lwowianie mieli mu, podobno, za złe, że po objęciu dyrekcji usunął ze sceny kilku zdolnych aktorów, których nazwiska zwykle decydowały o frekwencji.

A poza tym, przez cały czas pracy dyr. Warneckiego, jak nieodstępny cień towarzyszyło mu niezadowolenie pewnej części społeczeństwa z powodu niefortunnego rozwiązania sprawy Powszechnego Teatru Żołnierza. O los tej placówki stoczono podczas ostatniego przesilenia teatralnego walkę dość stanowczą. Dyr. Warnecki wyszedł z tej „walki” zwycięsko, ale zdaje się, że właśnie likwidacja tego teatru przyczyniła się w dużej mierze do jego ostatnich niepowodzeń.

Dziś, gdy sprawa znowu stała się aktualna, warto przypomnieć ten dzień, gdy na zwołanej przez dyrekcję teatru Żołnierza konferencji prasowej bardzo licznie przybyli dziennikarze, dowiedzieli się z niemałym zdumieniem o likwidacji teatru Powszechnego. Wiadomość ta była naprawdę niespodzianką dla społeczeństwa lwowskiego, bo właściwie nikt nie wiedział, co było powodem likwidacji tej placówki.

Powszechny Teatr Żołnierza pracował, jak wiadomo, na scenie dawnego teatru Rozmaitości, w dzielnicy najmniej odpowiedniej dla teatru, gdzie załamała się już niejedna, często nawet piękna inicjatywa. Zakładanie w tym lokalu jeszcze jednego teatru wydawało się ogólnie co najmniej dowodem braku doświadczenia. A jednak stopniowo, w miarę wzrastania zainteresowań, po wystawieniu kilku pierwszych sztuk, frekwencja zaczęła wzrastać, a z czasem wyrobiła się nawet stała publiczność.

Otóż właśnie ten samodzielny, zdrowy rozwój teatru nie zawdzięczający swojego istnienia zastrzykom grubych subwencyj, stał się powodem jego klęski. Gdy bowiem przekonano się, że przy rzetelnych wysiłkach można w tej sali mieć publiczność, że można w niej grać z powodzeniem, wówczas zarząd miejski po prostu wymówił teatrowi Powszechnemu salę, ponieważ dyr. Warnecki zastrzegł sobie w kontrakcie, że prócz teatru Wielkiego chce prowadzić także teatr Powszechny.

Na konferencji prasowej stała się ta sprawa tematem bardzo ożywionej dyskusji. Najpoważniejsi dziennikarze lwowscy wypowiedzieli się stanowczo za prowadzeniem Powszechnego Teatru Żołnierza w jego dotychczasowej formie. Głosy prasy były jednomyślne. Stwierdzono zgodnie, że społeczeństwo lwowskie, a szczególnie ta jego większość, dla której teatr Powszechny był istotnie powszechnym w najdosłowniejszym znaczeniu pod względem repertuarowym i groszowych biletów wstępu, — że ta ludność jest bezwzględnie przeciwna decyzji lwoskiego zarządu miejskiego, godzącego w podstawy bytu placówki teatralnej, która w stosunkowo krótkim czasie zdała egzamin z dostatecznej dojrzałości artystycznej.

Decyzja zarządu miejskiego była wówczas tym bardziej niezrozumiała, że Powszechny Teatr Żołnierza w końcu swojego istnienia stał się placówką samowystarczalną, co należało już do jego niewątpliwych sukcesów. Ale negatywne ustosunkowanie się zarządu miejskiego do jego działalności było widoczne. Dowodem tego fakt, że gdy kierownictwo teatru zwróciło się się do zarządu miasta z prośbą o subwencję w wysokości tylko 40.000 zł rocznie, spotkało się ze stanowczą odmową.

W rezultacie Teatr Powszechny uległ likwidacji, a po okresie niespełna roku cała polityka teatralna zarządu miasta skończyła się bankructwem. Rzemieślnik, robotnik, żołnierz nie mieli przekonania do nowego teatru. Nie był to już bowiem teatr powszechny, ale zwykły sobie teatrzyk dla publiczności trochę zblazowanej, takiej, co to nie dorosła jeszcze do wielkiego repertuaru, ale stała już ponad typem teatrów powszechnych.

Dziś znowu Lwów stanął do zdecydowanej rozgrywki z zarządem miejskim o teatr Powszechny. Tym razem olbrzymią pomocą będzie doświadczenie. Jest faktem zresztą, że nie zbankrutował tu teatr, lecz system teatralny, sprzeczny z koncepcją teatru powszechnego — w znaczeniu dosłownym.

———o———

TEODOZJA LISIEWICZ

„Estetyczne“ witryny

Może jeszcze w żadnym stuleciu nie mówiło się tyle, krzyczało, nie czyniło się tyle — ile teraz mówi się, krzyczy i czyni dla estetyki życia codziennego. Dla kultury. Szczególnie tym ostatnim wojuje się obecnie z uzasadnieniem, a jeszcze więcej bez uzasadnienia, zastosowując to określenie do wszelkich przejawów życia zbiorowego, jak i do jednostki. Wszystko jedno w jakim wypadku. Kultura, kulturalny, niekulturalny — na różne odmiany (bo czasem można usłyszeć i coś „niekulturalnego”).

Szczególnie ostatnie lata rozkrzyczały się wielkimi hasłami upiększania życia człowieczego, polurowania go nietylko z wierzchu, ale dotarcia do dna samego, do jego istoty dotychczas zakrytej. Rozszerzyły się ulice, wygładziły, umyły. Rozrosły okna, rozjaśniły mieszkania. Zaczęto szarpać słońce pełnymi, zachłannymi garściami, zaczęto je pić oszalałą swobodą. W mieście, brudne zakamarki, — usunęły się, unicestwiły. Jakieś krzywe schodki — i właśnie dlatego ładne, że krzywe — poznikały, wbrew prawom czasu wróciły do pierwotnej formy. Porządek, porządek, estetyka codzienności. Estetyka nietylko zamknięta, otoczona murem, której symbolem mógł być tylko storczyk, aksamit i stare fajanse — ale estetyka dla każdego.

Jak wszędzie, tak i we Lwowie. A we Lwowie tym bardziej, bo Lwów ma swoją ambicję i serdeczne poczucie tej ambicji; niezawsze możność dogodzenia jej sprawiedliwym planom, ale najważniejsze, że jest ona i można o niej mówić. Poznikały domki i domy wzruszające dowodem sentymenciku zapomnianych czasów, jednak rażące przy gruboskórnej wyrachowanej architekturze. Czy ładnej — kwestia zastanowienia. To już zależy od indywidualnego punktu widzenia i wymagań. Ale całość daje wrażenie ładu i czystości, co bądź co bądź zawsze wprowadza pewnego rodzaju walory estetyczne. Poszeregowało się więc wszystko powoli, wyciągnęło w linie, ubrało jak mogło jakąś zieleniną. Rzucono się nagle na zapomniany rynek lwowski. Z pod szyldów pamiętających jeszcze c. k. rejestry, brudnych, koszlawych, nawet dla prymitywnych pojęć reklamy fatalnych, zaczęły się wydobywać fasady, zamajaczyły włoskie portale, wdzięczne sklepienia, pod którymi dziś jeszcze zdają się chować bale jedwabi wschodnich i złotogłowiu. Wyłoniły się surowe oddrzwia przy których straż trzyma jeszcze halabardnik miejski, zaśmiały jedną źrenicą małe okienka, gdzie zdaje się migocze niewieści czepiec haftowany. Nawet ratusz, koszarowy styl austriackich odwachów przestał razić dzięki temu, że stopniowo przechodzi już sam do historii. Zbrojownia wybielała, tuż obok stare szatra, jakieś nikomu niepotrzebne i do nikogo nie należące mury, rozebrano. Rozjaśnił się Lwów, pełną piersią zaczerpnął powietrza.

I wystawy sklepowe. Choć większa ich część przeładowana jest jak straganiki jarmarczne, kiedy to przemyślny handlarz rozkłada na ławie paciorki i kolorowe cukierki, a obrazki wiesza razem z zabawkami, przecież i tu widać pewną niezdarną staranność i wywołanie dodatniego efektu.

Może najbardziej uboga w śródmieściu jest ulica Batorego. Cała

atrakcja to ciężki jak samo prawo sąd — i radio.

I to już wszystko. A tymczasem właśnie, że nie wszystko. Tu dopiero, na tej ulicy można się dowiedzieć co to jest martylogia jaką stwarza wystawa i martyrologia jaka może spotkać człowieka idącego spokojnie chodnikiem. Naprzykład człowiek taki, zamyślony, albo zajęty bardzo swoimi sprawami, idzie prawie automatycznie. Domy. ulicy, ludzie przesuwają się jak szary niezajmujący film. Nagle, na zbiegu ulicy Batorego i Fredry — doznaje szoku. Uderzenie. Myśli zawirowują. Przed nieprzygotowaną, a zawsze wrażliwą jak kamera wyobraźnią staje naraz biedna, nieszczęśliwa twarz kobiety bez nosa. Jeszcze ten idący nic nie rozumie, gdy tuż obok wyłania się umęczona głowa, zapewne ludzka, pozbawiona ust i ucha. Wstrząs silny. Teraz już wyraźnie przesuwa się kalejdoskop fotografii, potwornych dla przeciętnego widza, bolesnych, wyjawiających jaskrawo całą nędzę fizycznego cierpienia człowieczeństwa odartego z wszelkich cech obrazu stworzonego na wzór Wielkiego Boga. Nędza, wymagająca miłosierdzia i zrozumienia, bezosobowego uczucia i tkliwości, ale nędza, która tych wszystkich świętych uczuć nie znajdzie ani na ulicy, ani u spieszącego się, zajętego sprawami, może nawet głodnego przechodnia. Bo człowiek idący normalnie, na dwuch zdrowych nogach przez ulicę, jest w zasadzie okropnym egoistą. W nim, wystawa Ubezpieczalni Społecznej na rogu ulicy Batorego, wywoła najczęściej tylko niesmak, obrzydliwą sobkowską odrazę, a czasem i może najczęściej niezdrową ciekawość sensacji, jaką jest naprzykałd karetka pogotowia, albo realny, dostępny, wyciągnięty na ulicę dowód zbrodni. Bo do takiej nędzy, jaką się widzi na wystawie Ubezpieczalni, trzeba podejść dobrowolnie, z przekonaniem albo mądrą intencją nauki, ale nigdy nie może się ona zjawić nagle, sama, niewezwana przed człowiekiem, który na zdrowej twarzy obnosi z radością dobrej łaski przyrody cały nos, jasne pogodne oczy i dwoje, wykoszlawionych coprawda dziedzicznością, ale zawsze normalnych, różowych uszu.

Rozumie się doskonale potrzebę takiej wystawy, znaczenie i propagandę. Ale jeżeli chodzi już tylko o to ostatnie, to mam wrażenie, że cel jest najzupełniej chybiony. Jeżeli już cośkolwiek jest umieszczone za szybą wystawową, ma podwójne zadanie. Zdobić daną ulicę, przyciągnąć przechodnia i równocześnie być doskonałą reklamą przedsiębiorstwa. Bo już przedsiębiorstwem trzeba nazwać instytucję, która dla celów propagandowych używa zwykłej witryny sklepowej. A trudno przecież pomyśleć, by ktoś wszedł spokojnie do gmachu, który jako reklamę wystawia na ulicy, za szybami, maski śmierci, grozę cierpienia i tajniki schorzałego organizmu. Bez względu na poziom i przynależność klasową każdy chory lubi, jak do jego cierpienia podchodzi się w rękawiczkach.

Tyle razy mówiono już o idei masy, tyle razy powtarzano na tylu różnych zebraniach i w tylu odezwach „Nie czas myśleć o róży... itd." Jednak ze względów nie tylko estetycznych (dla ozdoby miasta) ale i etycznych, czy nie należałoby w tym wypadku zainteresować się raczej jednostką aniżeli masą. Ale jednostką nie żywą, nie tą, która stanie jako przedstawiciel masy przed wystawą Ubezpieczalni, tylko są ,której twarz męczy się na fotografiach ustawionych rzędem. Każdy człowiek ma swoją specjalną ambicję. Nikt nie jest jej pozbawiony w ujemnym, czy dodatnim znaczeniu. Każdemu ta ambicja, pewien jakiś wrodzony, odruchowy wstyd, kazał kiedyś kryć przed ulicą swoje cierpienie. T tu, ci biedni, bardzo biedni, potępieni przez naturę wystawieni są na widok ludzki i mają odgrywać pewną w swym rodzaju, nawet mądrą, ale zawsze rolę straszaków. Naprawdę można się zastanowić czy nie ma już innego środka jak tylko wystawa i to wystawa sklepowa. Dlaczego na zwykłej ulicy zwykłego dnia urządza się panoptikum. Jest tyle odczytów! wykładów! filmów poglądowych! a tych ani nie głosi się ani nie wyświetla na ulicy. Nie można zatruwać zwykłemu człowiekowi jego szarych myśli, nie można odzierać go z pozornego choćby poczucia estetyki, tej na codzień, która każe ściągać z kamienic brudne szyldy i krzywe chałupiny zmieniać w równe kwadraty. Prosektorium jest dla wybranych i chętnych, ale nie jest i nigdy nie było przeznaczone dla tych, którzy z pasją nie opuszczają ani jednego programu kinowego i nie odejdą za żadne skarby świata z placu, na którym ustawiono właśnie budy cyrkowe. W tym wypadku tego, który zatrzyma się przed wystawą Ubezpieczalni, przyciągnie nie chęć wiedzy i mądrego pojęcia choroby, ale ta wspomniania już sensacja podwórzowa i jakiś podświadomy, wewnętrzny niepozbawiony ciekawości strach, nawet instynkt, jakiego nie mają zwierzęta, tylko stworzenia o mózgu i komórkach ludzkich. A jeżeli chodzi o stronę pedagogiczną — cel również chybiony. Mimowoli, ten stojący przed wystawą, z fotografii przenosi wzrok na swoje zdrowe spracowane ręce i patrzy, patrzy czy nie znajdzie na nich śladu jakichś czerwonych plam; mimowoli przeciągnie dłonią po swoim mocnym ,zdrowym ramieniu i odczuwa w nim ból, którego przedtem nie miał i nie czuł, a który teraz mały jak ukłucie szpilki, ześlizgnął się z fotografii na zatrwożoną o siebie myśl człowieka, a z myśli rozpłynął się cichutko po nerwach i tam osiadł.

A jeżeli chodzi o estetykę miasta, ulicy, domów, jeżeli maluje się, przemalowuje bieli i zdobi, jeżeli sprowadza się wzory, czyta pisma, i jakie kto chce plany, to dlaczego i ta wystawa mająca przed sobą cel bezwarunkowo wielki i zbawienny, dlaczego nie może być zmieniona na taką, która przyciągnie mądrą myślą, umiejętnie nauczy, a nie odstraszy od siebie grozą, makabryzmem i bezzaprzeczenia — niesmakiem.

——o——

Na manowcach sztuki rządzenia

Tysiące teoretyków i praktyków usiłują od tysięcy lat rozwiązać problem, w jaki sposób możnaby możliwie najdłużej i najszczęśliwiej rządzić nad innymi. Instynkt rządzenia, tkwiący w każdym człowieku, znajduje wyraz początkowo na ciasnym terenie. Każdy może być panem swego czasu, twórcą ładu we własnym pokoju, władzą ustawodawczą i wykonawczą w dziedzinie przepisów, regulujących życie indywidualne. Rządy nad młodszem rodzeństwem, czy kolegami, to już wyższy etap, po którym przychodzi czas na kierowanie innymi w warsztacie pracy, czy na terenie własnej rodziny. Ci, którym to wszystko nie wystarcza, mogą ambicjom swoim dać ujście w pracy społecznej, gdzie jednak inne już obowiązują reguły przy staraniach o zagarnięcie władzy.

Problem rządzenia wszedł w ostatnich latach zdawałoby się w nową fazę. Do głosu dochodzi tzw. totalizm, ochrzcony mianem nowości, mianem uniwersalnego lekarstwa, na choroby, trapiące od wieków ludzkość. Czy jednak totalizm jest naprawdę czemś nowem? Wykazano już niejednokrotnie, że właściwie poza n a z w ą, pojęcie totalizmu, realizowanego m.in. przez cesarzy rzymskich i zakon krzyżacki nie wiele zawiera nowych cech, co więcej zawiera niejedno, co doprowadziło do upadku autokratyczne ustroje.

Ukazała się właśnie w polskim przekładzie praca Alfreda Neumana o Napoleonie III, postaci niewątpliwie interesującej nietylko dla historyka, ale też dla powieściopisarza. Spróbujmy na podstawie wyników studjów Neumana zreferować system rządów Drugiego Cesarstwa, zakończonego druzgocącą katastrofą na polu bitwy pod Sedanem i upadkiem monarchii we Francji. Z góry zaznaczamy, że autor traktuje Napoleona z dużą dozą sympatii i stara się nawet często postać niefortunnego władcy przedstawić w lepszym świetle. Kto wie, czy nie dzieje to się dla tego, że w porównaniu z niejednym dzisiejszym dyktatorem postać Napoleona III dziwnie mało przypomina dyktatora. W zestawieniu z dzisiejszymi czasami Napoleon odzyskuje prawa ludzkie i prawa dobrego władcy...

Dyktatura — mówi brat cesarza, wytworny, cyniczny i pogardliwie odnoszący się do ludzi Morny — żyje jedynie od sukcesu do sukcesu. W tych warunkach można liczyć tylko na Opatrzność i łaskawie przez nią wydzielane lata szczęścia, które, jak perły, nizać należy na sznur i prosić Boga, by sznur nie urwał się nigdy. Cóż jednak wart ustrój, który drży wobec każdego niepowodzenia? (str. 66). Napoleon ogarnięty jest nieustannie lękiem o przyszłość. O synu swoim mówi: „Czystość spojrzenia ma po Eugenii (cesarzowej), łagodność — po mnie, ale powaga, to skutek obaw, jakie przeżywamy oboje" (str. 79). Czasy dzisiejsze, żali się cesarz, nie są nam przyjazne. Czuję że jesteśmy słabi i że zły, okrutny czas ucieka przed nami". Słowa te wypowiada ten sam człowiek, który dopiero co chwalił się, że ma tajną policję, która doskonałością jego samego nawet przeraża. Dzięki wścibstwu tej tajnej policji „wszyscy żyjemy, jak pod szklanym kloszem".

Policja ma jednak zadania bardzo ważne. Np. gdy do Paryża przyjeżdża w odwiedziny jeden z niemieckich książąt „za sprawą policji kryminalnej niewinne z pozoru tłumy (witające cesarza i jego gościa) nie były wcale, jakby się wydawać mogło, pozbawione opieki, bo na pięciu krzykaczy entuzjastycznych wypadał co najmniej jeden detektyw" (str. 106). Ten więc, kto myśli, że dopiero Hitler czy Mussolini wymyślili system bezpiecznego entuzjazmu, będzie w błędzie. Tak samo myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że za czasów Napoleona III nie znano jeszcze tajemnicy robienia plebiscytów. Tak się dziwnie składało, że w owych czasach przy wszystkich niemal wyborach prowincja wybierała posłów rządowych, natomiast Paryż głosował inaczej. Zjawisko to wyda się zrozumiałe, jeżeli pomyślimy, że wszak od Napoleona do Hitlera było dosyć czasu, aby niejednej rzeczy się nauczyć. Teraz stolice są już takie, jak cały kraj. Dodajmy jednak objektywnie, że jeżeli wówczas Paryż gosował inaczej, niż cały kraj, to tylko z powodu uporu v-cesarza Mornego. Napoleon tłumaczy mu: „Twoja to wina, że wogóle mamy sześciu czy pięciu (opozycjonistów). Nie potrzeba twoich przestróg, bo i bez nich mój okrutny minister spraw wewnętrznych i prefekt nad prefekty, genialny Haussmann, zatroszczą się o to, by żaden z tak zwanych niezależnych nie miał dostępu do urny wyborczej" (str. 66). Potem nawet, gdy system już trzeszczy, cesarz myśli o posłach opozycyjnych: „Paweł czy Gawel — wszyscy są diabła warci, wszyscy bowiem stanowią ferment niepokoju, szumowiny bezładu. Ja jedynie jestem ostoją ładu, panowie zaś mogą mi pomóc w dziele budowy nowej, uporządkowanej wolności" (str. 510).

Napoleonowi trzeba przyznać, że nie był ślepym doktrynerem. Wiedział dobrze, jaki może być koniec jego dyktatury. Świadomie organizował wojny, aby w ten sposób odciągnąć uwagę narodu od zagadnienia wolności, aby zjednać monarchii blasków zwycięstwa i uzyskać w ten sposób dla siebie legitymację i prawo dalszego panowania. „Rewolucja — myśli cesarz — toczy się coraz szybciej, by w końcu stać się niepowstrzymaną lawiną, albo raczej wyścigiem dwu lawin - królewsko - narodowej i rewolucyjno - narodowej. W tych warunkach będę zawsze pod przymusem politycznym mówił jednocześnie „tak" i „nie", głośno „tak", a cicho „nie" i odwrotnie (str. 241).

Dlatego też „autokratyczny cesarz w żołnierskim kepi (ubrał je, gdy wyruszył na włoski front dla pozyskania serc żołnierzy przyp. rec.) prowadził wojnę w przymierzu z europejskim duchem wolności. Nadał nowemu szczęściu ściśle określone formy, zwyciężając pod znakiem szczęścia szerokich warstw społecznych. Było jednak coś, co przeczyło wszystkim tym górnym hasłom. Europejski demokrata na eksport, u siebie w kraju wprowadził dyktaturę. Jak zatem zapobiec skutkom tej sprzeczności, jak ratować młode Imperium przed naciskiem owych haseł"? (str. 255-6). Bo Napoleon zdawał sobie sprawę, że nie da się utrzymać „rosyjski knut na użytek wewnętrznodomowy, a czapka frygijska na pokaz".

W tej ciężkiej chwili wicecesarz Morny znalazł zbawienne wyjście. Rzucił hasło „odmłodzenia państwa. Taką znalazł dyskretną a mądrą formułkę na konieczność przekształcenia dyktatury. Nie zanosiło się na pełną wolność polityczną, ale na pewne swobody obywatelskie" (str. 245). Z własnej nieprzymuszonej woli krok po kroku przyznawał chory cesarz ludowi coraz nowe prawa obywatelskie: wolność prasy, zebrań, zrzeszania się, przekazując jedno po drugim swe monarsze prawa obydwu Izbom. Działo to się wbrew woli Cesarzowej, wbrew radom ministrów i przyjaciół, wbrew partii rządzącej... A jednak gdy prawa przyszły tak późno i w tak powolnych dawkach „nowe reformy przyjmowano z nieufnością, nikt nie cieszył się z hojnych cesarskich darów, nikt nie był wdzięczny chorowitemu i mglistemu dobroczyńcy (str. 280).

Gdy po wydaniu nowego prawa prasowego, pojawiają się niesłycha-

*) Alfred Neuman: Drugie cesarstwo. Warszawa 1938. „Rój".

Piasecki po raz drugi

Krytyka literacka postawiona została przez Melchiora Wańkowicza wobec nowego problemu. Na imię mu: Sergiusz Piasecki. Niestrudzony szperacz Wańkowicz, wnikający z tą samą pasją w cuda Meksyku, co i nowe życie sowieckie, miłośnik staroszlachetczyzny i entuzjasta nowego tętna, bijącego w Centralnym Okręgu Przemysłowym, dostał też w swoje ręce rękopis przestępcy, osadzonego na Świętym Krzyżu i oto w literaturze polskiej narodził się nowy talent. Wyrwany dzięki Wańkowiczowi z więzienia, Sergiusz Piasecki legitymuje się przed czytającą publicznością drugim już utworem. Po „Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy", który w krótkim czasie rozszedł się w trzech nakładach i został przetłumaczony na kilka języków europejskich, w druku ukazał się „Piąty etap", odsłaniający inną kartę z przebogatego życia Sergiusza Piaseckiego.

W pierwszej książce mieliśmy pamiętnik przemytnika, tu znów na widownię występuje szpieg, pierwszy bodaj autentyczny szpieg, który potrafił napisać tak fascynującą powieść o swoich przeżyciach, choć o samym „rzemiośle" nic prawie nie opowiada. I aczkolwiek pamiętnik Piaseckiego stanowi przeciwstawienie tego wszystkiego, co przedstawiają masowo produkowane w Ameryce i innych krajach filmy szpiegowskie, to jednak przyznać trzeba, że mimo ogałacania go z wszelkiej aureoli, mimo wyzbycia całego sensacyjnego balastu, życie szpiega wygląda u Piaseckiego o wiele bardziej romantycznie, a przede wszystkim, że jest ono prawdziwe.

Piasecki, podobnie jak w pierwszej powieści, jest przede wszystkim pamiętnikarzem, opisuje prawdziwe swoje przygody, a literackość jest wtórnem dopiero zjawiskiem w jego utworach. Dlatego też freudysta nie mógłby do tych utworów przystąpić jak do każdego innego utworu literackiego. Za mało tu elementów do analizy, choć niewątpliwie wysuwanie na pierwszy plan pewnych momentów da się łatwo uzasadnić pobytem w więzieniu i więziennymi warunkami. Taka praca analityczna mogłaby jednak być podjęta dopiero wówczas, gdy ukażą się pierwsze utwory Piaseckiego pisane już na wolności, co ma podobno nastąpić w najbliższym czasie. Wtedy badanie twórczości Piaseckiego będzie bardzo ułatwione.

Na razie nasuwa się jedna refleksja. Obie książki Piaseckiego są bezcennym dokumentem, malującym życie na pograniczu sowieckim w pierwszych latach powojennych. Wartość dokumentarna obu powieści nie ulega wątpliwości, niemniej jednak wyłania się poważny problem, czy młodzież szkolna powinna poznać te utwory. Mam nawet wrażenie, że nieodzowna jest, i to nie dla reklamy, ale naprawdę, opaska „tylko dla dorosłych". Książki są bowiem niemoralne. Prawda, malują tylko rzeczywistość minionych lat, ale też ta rzeczywistość, zrozumiała w owych czasach, nie nadaje się dziś do propagandy.

Gdyby książki były gorzej pisane, gdyby opisy nie były tak sugestywne, gdyby żywiołowy temperament autora nie udzielał się czytelnikowi, gdyby nie było tej szczerości, bezpośredniości i innych walorów, stanowiących o dużej wartości dokumentarnej pamiętników Piaseckiego, możnaby machnąć ręką i pozwolić każdemu emocjonować się tą lekturą. Niestety jednak Piasecki pisze tak pięknie, jego męstwo, zuchwalstwo w najszlachetniejszym gatunku i inne cechy dodatnie tak organicznie splatają się z mniej radosnymi stronami życia przemytnika — znającego tylko dzień dzisiejszy, że w konsekwencjach lektura Piaseckiego może być raczej szkodliwa. Bo jeżeli Piaseckiemu wolno burdy wyrządzać na każdym kroku, jeżeli jemu wolno wciąż pić wódkę i samogon ze szklanek, jeżeli jemu wolno to i owo, a mimoto dziś stał się wielkim i sławnym, to dlaczegoż i ja nie miałbym naśladować miłośnika Wielkiej Niedźwiedzicy. Tak pomyśli niejeden młody czytelnik, oszołomiony poetyckim opisem rzeczywistości tak różnej od dzisiejszej. Bo młodzieniec napewno nie uświadomi sobie, że czasy, kiedy Piasecki mógł działać jako przemytnik minęły bezpowrotnie. Ci, którzy tu i ówdzie przy przemycie i wódce flaszkami konsumowanej pozostali, nie są już Piaseckimi. Takie życie jakie, opisują obie powieści, prowadzi zresztą nieuchronnie do więzienia, co spotkało też i Piaseckiego i trzeba mieć talent Piaseckiego, by po długoletnim odcięciu od świata powrócić do n o r m a l n e g o życia, jako człowiek o d r o d z o n y, jako człowiek o nowem obliczu. Dawne bujne lata, przeżywa Piasecki już tylko w literaturze.

(h. r.)

W XXI rocznicę Błękitnej Armii Polskiej

WOJSKO BEZ ZIEMI

Dwadzieścia jeden lat temu dnia 4. 6. 1917 r. prezydent Republiki Francuskiej, Poincare podpisał dekret o utworzeniu autonomicznej armii polskiej we Francji. — Fakt ten miał dla Polski olbrzymie znaczenie, gdyż oficjalne uznanie istnienia odrębnej Armii Polskiej na równi z armiami sojuszniczymi było dla nas podstawą uczestniczenia w traktacie wersalskim na prawach sojusznika kombatanta. — Błękitna Armia odnowiła też francusko-polskie braterstwo broni, walcząc — jak niegdyś Legiony Dąbrowskiego — w jednych szeregach z armiami francuskimi. Dowodami tego braterstwa są sztandary bojowe Błękitnej Armii, ofiarowane przez miasta francuskie, oraz setki grobów błękitnych rycerzy-polaków, znajdujących się na polach bitew w Szampanii.

Obecnie w XXI rocznicę powstania Błękitnej Armii, a XX rocznicę I dywizji (13 D. P.) węzły braterstwa zacieśnione są wspólną historią braterskich walk. Jak niegdyś Legiony Dąbrowskiego, tak przed dwudziestu laty Armia Polska we Francji, Polaków nie tylko z wszystkich stron Polski, ale z całego świata zjednoczyła w swoich szeregach. Po raz drugi w dziejach historii powtarzał się fenomen istnienia Armii, bez ziemi. — Ziemia, do której ta armia dążyła, pozostawała jeszcze w mocy najeźdźcy, a odgrodzona była od reszty świata słabnącą, ale nie mniej potężną linią frontu. Na tym froncie krwawiły się również poszczególne oddziały polskie, które jako Armia, stanęły tam dopiero w przededniu ostatecznego upadku wojsk niemieckich i zawarciu pokoju, który stworzył Armii Błękitnej drogę do kraju.

Z pośród tysięcy błękitnych żołnierzy wielu było takich, którzy nigdy nie widzieli Polski, wielu wracało do kraju po latach dobrowolnej lub przymusowej rozłąki. Dla nich powrót do Ojczyzny z bronią w ręku celem uwolnienia i oczyszczenia Jej z wrogów, oraz wytyczenia bagnetami granic, było chwilą o której marzyli przez całe życie.

Wielu poległo lub zmarło z ran — pozostali skupiają się w placówkach pod sztandarami organizacyjnymi, Stow. Weteranów Armii Polskiej we Francji, rozsianych na terenie całej Polski, w Ameryce, i Paryżu.

Na ziemiach Małopolski są okręgi: Lwowski (woj. lwowskie i tarnopolskie — około 2.800 członków w 44 placówkach od Tarnobrzegu aż po Podwołoczyska nad Zbruczem) Siedziba Lwów, Kurkowa 12. krakowski, Kraków, Starowiślana 13. — stanisławowski, Stanisławów obok koszar 48 p. p.

Feliks Ochman.

ne złośliwości w „Latarni", cesarz nie oburza się. Twierdzi, że nie są one konsekwencją nowego prawa prasowego, jak usiłuje mu dowodzić wyniesiony na stanowisko księcia ekskapral huzarów Persigny, ale „raczej jest to skutek dawnego knebla na ustach. Brudy muszą spłynąć na oczach opinii publicznej. Gdy spłyną, pokaże się może czysta woda, albo przynajmniej tesknota za nią. I o to właśnie chodzi (str. 473). Bo tenże Napoleon ma aż tak dalece „niemodne" myśli, iż uważa ideę za coś ważniejszego, skuteczniejszego i donioślejszego, niż najbardziej nowoczesne armaty" (str. 199). Powiedzenie to powinni dziś wypisać na transparentach w Hiszpanii. A brat cesarski, przewodniczący Izby, oświadczył „odmłodzonemu parlamentowi, że „rząd pozbawiony kontroli i krytyki jest jak okręt bez ładunku. Brak otwartej krytyki parlamentarnej, brak opozycji i sprzeciwu prowadzi władzę na manowce, niecąc w kraju niepokój. Najbardziej opozycyjna mowa lepsza jest pod tym względem, niż oszukańcze milczenie" (str. 321).

A jednak mimo wszystko Napoleon nie ocalił siebie i kraju przed zagładą. Bo za długo trwało „szczęście regulowane przepisami i ustawowym gwałtem", za długo obowiązywył dekret o bezpieczeństwie publicznym, szyderczo zwany przez ironiczny lud dekretem powszechnego donosicielstwa (str. 118), za wiele nagromadziło się nienawiści, budzonej przez samowolę i hodowanej przez lęk ciemieżcy i lęk ciemiężonego (str. 117), za długo wreszcie o sądach można było myśleć „Bo czy tu głosi się prawo w imieniu Chrystusa? Nie, wyroki są tu ferowane z ramienia nieprawnego Cesarza, którego uśmiechnięty portret wisiał na jednej ze ścian sali przysięgłych. W tej sali, myślał z goryczą Rochefort, unosi się niewidzialna ręka Cesarza, nie zaś duch bezstronnego prawa. Jak pogodzić te sprzeczności — krucyfiks, portret Cesarza i głosy zatopionych w rozważaniach ludzi? (str. 149).

A małżonka Napoleona cesarzowa Eugenia, prowadzi dokładną ewidencję należnych jej hołdów, niby pedantyczny poborca podatkowy zachowując skrzętnie każdy papierek, świadczący o wdzięczności ludzkiej pod jej adresem — zarówno dla kontroli haraczy nieuiszczonych, jak i dla ukarania niewdzięczności (str. 109-10).

Ładne to były czasy...

Jan Kuciński

Przegląd prasy

„Dziennik Polski" z d. 30 maja br.

Wedle informacyj z miarodajnego źródła możemy stwierdzić, że katowicka grupa Zarzewia, na czele której stoi inż. Jastrzębiec - Zakrzewski, oddawna prowadzi akcję niezgodną z ogólnym stanowiskiem Zarzewia. Grupa p. Zakrzewskiego szczególną sympatią darzy hitlerowców. Te sympatie znalazły swój wyraz w ostatnich deklaracjach, w których p. Zakrzewski i jego przyjaciele nie wspomnieli ani razu o niebezpieczeństwie niemieckim na Śląsku, natomiast długo i szeroko rozwodzili się o niebezpieczeństwie żydowskim w tej dzielnicy, a przecież wiadomo, że to drugie niebezpieczeństwo nie ma w tej dzielnicy takiego znaczenia, jak właśnie niebezpieczeństwo niemieckie.

Dowodem, że robota cała jest szyta grubymi nićmi, jest wiadomość o przyłączeniu się do całej akcji środowiska lwowskiego Zarzewiaków. Tymczasem wiadomą jest rzeczą, że środowisko lwowskie w poglądach swych stoi raczej na lewo od poglądów Zarządu Głównego Zarzewia i wykazuje wybitne sympatie dla ruchu ludowego oraz jak najskrajniej przeciwstawia się wszelkim tendencjom totalistycznym w stylu Falangi. Trudno sobie wyobrazić więc, jak te dwa środowiska: katowickie prohitlerowskie i prototalistyczne oraz lwowskie: ludowodemokratyczne i antytotalistyczne mogłyby ze sobą współpracować.

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Związek Legionistów

Zarząd Okręgu Zw. L. P. Lwów

W dniu 31 maja br. odbyła się w Zarządzie Okręgu odprawa prezesów Oddziałów Zw. Leg. Pol. z terenu wojew. stanisławowskiego oraz części wojew. lwowskiego.

Obrady prowadził sekretarz Zarządu Okręgu ob. Wojtarowicz w zastępstwie nieobecnego — z powodu choroby — prezesa Okręgu ob. dr Wojciechowskiego.

Krótki referat na temat organizacji pracy w terenie Obozu Zjednoczenia Narodowego wygłosił ob. mjr. dypl. L. Domoń oraz udzielał odpowiedzi i wyjaśnień na stawiane mu pytania.

W dyskusji poruszono sprawy personalne, gospodarcze i społeczne związane z akcją O. Z. N.

—o—

Oddz. Zw. L. Pol. — Drohobycz

Opieka nad szkołą wiejską

Z inicjatywy Zarządu Oddziału Z. L. utworzona sekcja Z. L. i P. O. W. objęła opiekę nad szkołą polską w Słońsku, jak również obdarowała dziatwę szkolną w Monasterze Letniańskim, zaopatrując najwięcej potrzebujących w bieliznę i odzież. Sekcja zebrała ankietę niemal z wszystkich szkół w powiecie.

Na podstawie tych danych, stwierdzono, że są miejscowości w powiecie, jak to mówią „zapomniane przez Boga i ludzi". Dziatwa w niedostatku i nędzy, zawszona, w 70% gruźlicza, nie widziała w swoim życiu mydła lub cukru. Nauczyciel czy nauczycielka rzuceni w takie środowisko, stają bezradni i bezsilni wobec ogromu nędzy.

—o—

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

Dnia 14 maja br. wygłosił profesor dr **Bolesław Stachoń** referat pt. „Obecna sytuacja międzynarodowa". Nawiązując do czasów przedwojennych, naszkicował dalszy rozwój stosunków dyplomatycznych między głównymi grupami państw i udział tychże w wielkim koncercie politycznym aż po czasy dzisiejsze. Dr Stachoń podał materię w sobie zawiłą, przeto z natury ciężką, w formie przejrzystej i lekkiej, okraszając powagę myśli humorem. Mówił z wielką swobodą, bez pomocy notatek. Łącząc miłą prostotę wykładu z polotem, pouczał i bawił zarazem tak, że godzina minęła wyjątkowo szybko, zostawiając jak najmilsze wrażenie biesiady duchowej. Świadczyły o tem żywe oklaski wdzięcznych słuchaczy i wreszcie serdeczne ich prośby o powtórzenie podobnych wykładów.



„Skapany świat" Orkana odegrany przez sekcję teatralną Związku Legionistów w Drohobyczu.

Dnia 21 maja br. odbył się w świetlicy Oddziału lwowskiego Wieczór ku uczczeniu 20-letniej rocznicy bitwy pod Kaniowem. Inicjatywę i wykonanie programu zawdzięczamy w dużej części P. pułkownikowej Jadwidze Zabielskiej.

Po krótkim zagajeniu ,wygłoszonym przez kierownika sekcji kulturalno - oświatowej, naszkicowała P. Zabielska w słowach pięknych i wzruszających bohaterskie dzieje drugiej Brygady Legionów, posługując się często dla oddania nastrojów recytacjami wierszy poetów legionowych. Chór legionowy „Legun" dzielnie sekundował Szanownej prelegentce, ilustrując licznymi pieśniami słowa referatu.

Licznie zgromadzona publiczność wyraziła serdecznymi oklaskami uznanie za mile spędzony wieczór. Prezes Oddziału podziękował P. pułk. Zabielskiej za Jej walny udział w urządzeniu pięknej uroczystości.

—o—

Związek Peowiaków

Okręg P. O. W. — Lwów

Zmiany personalne

W związku z przeniesieniem płk. dypl. s. s. Pieniążka Władysława na wyższe stanowisko do Warszawy, prezesem Okręgu P. O. W. Lwów został z dniem 1 czerwca 1938 r. dotychczasowy wiceprezes Okręgu i prezes Koła P. O. W. Lwów mjr. dypl. Domoń Ludwik, wiceprezesem Okręgu został dr inż. Pilat Kazimierz, a sekretarzem Okręgu dotychczasowy sekretarz mgr. Horodyński.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.